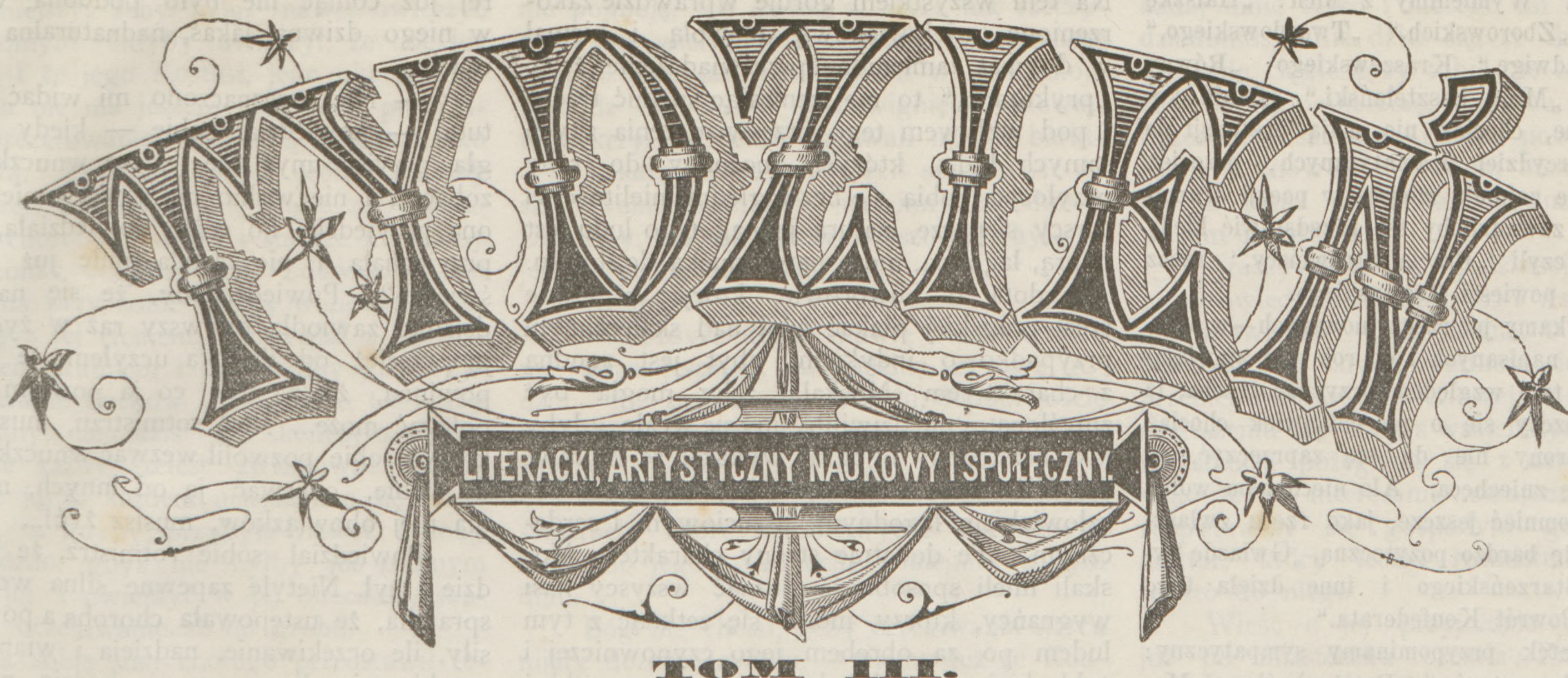
Nr. 20. Lwów, Niedziela dnia 14. Maja 1876 r. **Rok III.**



TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XIX.

Repertuar lwowskiego teatru.

II. Nie jesteśmy wcale *szowinistami* i nie pragniemy oddzielać się nieprzebytą granicą od innych narodów, jednak radzibyśmy przedewszystkiem uwzględniać własne potrzeby moralne, naturę własnego społeczeństwa, własne stosunki — a od obcych życzymy sobie brać to, co dobre. Teatr nasz znajduje się w położeniu zupełnie odmiennem, niż teatra w krajach szczęśliwszych. U nas teatr nie tylko bawić powinien, ale i uczyć. Uczyć języka, uczyć dziejów, uczyć wiary w przyszłość — słowem powinien mieć znamię prawdziwej świątyni sztuki narodowej. Teatr nasz powinien poczuwać się do tego obowiązku, i pracować mu należy za siebie i za nieszczęśliwą, zgnębioną Warszawę. Teatr powinien rozbudzać ruch na polu poezji dramatycznej, powinien zachęcać młodych pisarzy do pracy na tem polu. Pod tym względem nie wolno się nam oglądać na przedmiejskie teatra w stolicach Europy. Niech dyrekcja ogląda się raczej na sceny główne w tych stolicach: nadworne, lub miejskie (Hoftheater, Stadttheater.) Operetki i farsy królują w wielkich miastach, ale tylko w teatrach specjalnie na to poświęconych — przedmiejskich. My jeden tylko mając teatr, nie możemy go zamienić w jakiś drugorzędny teatrzyk paryski lub wiedeński—zwłaszcza, że nic się tego nie domaga. W dużych miastach, wytwarza się tłum wzbogaconych karjerowiczów, sybarytów, których celem: żyć wesoło, bawić się życiem. Nasze stosunki społeczne i ekonomiczne — a przedewszystkiem małe stosunkowo zaludnienie miasta, nie wytwarzają tego rodzaju ludzi, a przynajmniej bywa ich nie wiele. Jądro publiczności teatralnej stanowi u nas właściwa inteligencja, a ta posiada za wiele wykształcenia, by się domagała samej farsy na scenie.

Nie chcemy komedji płaskiej i operetek zupełnie na banicję wskazywać, ale sądzimy, iż rzeczą jest zupełnie słuszną — aby drugorzędne stanowisko w repertuarzu zajmowały — a to stosownie do potrzeb naszego społeczeństwa. Wszelkie płaskie, prawdziwie cyrkowe produkcje, obce są zupełnie smakowi i naturze publiczności polskiej, czego dowodem już to samo, że literatura nasza na nic takiego nie mogła i nie może się zdobyć, a nawet w sztukach na tle z życia ludu osnutych, zachowuje przyzwoitość i strzeże się zboczeń od etycznych i estetycznych wymagań.

Zasłanianie się ubóstwem naszej literatury dramatycznej, jest najzupełniej niewłaściwem, bo chociaż istotnie poezja dramatyczna polska nie może równać się z niemiecką, angielską i francuską — to przecież posiada liczne dzieła znakomitej cenności, a w ogóle bądź co bądź, nawet mniej doskonałe utwory polskie, lepsze są bez porównania od fars cudzoziemskich. Znowu ku przykładowi przywiedziemy repertuar teatru krakowskiego za dyrekcji hr. Skorupki, pod kierunkiem artystycznym p. Jasińskiego.

Przedstawiano tam z powodzeniem nawet tak słabe dramata, jak utwory Wacława Szymanowskiego, obok Barbary Radziwiłłównej, Anny Oświęcimównej, Mazepy, Zborowskich Szujskiego, Jadwigi tegoż autora i t. d. Przedstawiono w jednym tygodniu Marję Stuart Słowackiego i Marję Stuart Szylera, aby publiczność mogła uczynić sobie porównanie obu poetów. Przedstawiano utwory obcej literatury, ale takie, jak: Don Karlos, Intryga i miłość, Egmont, z komedji: Szklanka wody, Walka kobiet, komedje Sardou itd. Umiano łączyć w repertuarzu literaturę wyborową obcą ze swojską — a i publiczność była zadowolona i względy kasowe zaspokojone — bo teatr bywał zawsze przepełniony i zwykle o 6ej godzinie nie można już było kupić biletu.

Jeżeli więc posługiwać się musimy często literaturą dramatyczną obcą, to wybierajmyż z niej dzieła wzorowe, znakomite—które i smak publiczności zaspokoją i naprawią — i za modłę posłużą młodym talentom dramaturgicznym.

Ażeby zaś w zupełności i temu argumentowi obrony bezpodstawność wykazać, pozwolimy sobie w jak największem skróceniu zestawić repertuar polski. Cofamy się do epoki Stanisławowskiej i przypominamy komedje Franciszka Zabłockiego, z których nie jednę możnaby i dziś przedstawić, jak np. „Balik gospodarski,“ opera komiczna w 3 aktach (drukowana w Warszawie u Grölla w r. 1780). Możnaby też w licznych dziełach Wojciecha Bogusławskiego także coś znaleść. Jako sztuka niedzielna, wcale stosowna: „Król Łokietek,“ czyli „Wiśliczanki“ Dmuszewskiego, Felińskiego „Barbara Radziwiłłówna,“ nigdy nie starzejące się komedje Fredry, zasługiwałyby na większe uwzględnienie. Komedja Fredry: „Przyjaciele“ od lat wielu nie była przedstawianą na tutejszej scenie. „Nowy Don Kiszot“ i „Nocleg w Apeninach,“ jakkolwiek spotykające się z wielu zarzutami, z pewnością milszeby były publiczności i przyzwoitsze, niż: Pericola, Indigo i t. d. A nawet tak znane komedje Fredry, jak: „Zemsta,“ „Dożywocie,“ „Mąż i żona,“ „Śluby panieńskie“ i t. d. napełniłyby salę więcej, niż Indigo na piątem z rzędu przedstawieniu. Mamy też Kamińskiego: „Staroświeczczyzna,“ „Skalmierzanki“ i inne, nadające się do przedstawień niedzielnych. Z wielu względów wadliwe, bez wielkiej wartości dzieła Konstantego Majeranowskiego, bądź co bądź stosowniejsze na niedziele i święta, niż Indigo i Pericola. Przypominamy: „Urszulę Majerin“ i „Dwory polskie.“

Dzieła Korzeniowskiego także mało są znane. „Piąty akt,“ „Górale Karpaccy,“ „Wąsy i peruka,“ „Majątek albo imię,“ „Dymitr i Marja“ i inne — albo nieznane, albo zupełnie zapomniane są na lwowskiej scenie, a jednak wszędzie ściągały tłumy publiczności. A czemu też nie przedstawić „Rozbójnika salonowego“ Magnuszewskiego? Małeckiego: „List żelazny,“ a szczególniej: „Grochowy wieniec,“ z upodobaniem widywane bywały na scenie przed laty. Czemu też „Marja Stuart“ Słowackiego nie wyjdzie z ukrycia? i nieprzypomni się „Mazepa?“ Możnaby też przypomnieć kiedy Syrokomli utwory, jak: „Kasper Karliński,“ „Wyrok Jana Kazimierza,“ „Zofja księżniczka Słucka.“ Dramata Szujskiego, chociaż nie wolne od zarzutów, przecież godniejsze przedstawienia, niż wiele in-

nych rzeczy. Wymienimy z nich: „Halszkę z Ostroga,“ „Zborowskich,“ „Twardowskiego,“ „Królowę Jadwigę.“ Kraszewskiego: „Równy wojewodzie,“ „Miód kasztelański,“ „Panie kochanku“ i inne, chociaż nie mają pretensji do stanowiska arcydzieł dramatycznych, przecież wcale poważne zajmują miejsce w poezji dramatycznej. Nie zawadziłoby też przedstawić kiedy „Listopad,“ czyli „Bracia Strawińscy,“ rzecz przerobioną z powieści Rzewuskiego.

Nie dotykamy już rzeczy nowszych—w ostatnich latach napisanych i co rok się zjawiających, bo pod tym względem przyznać trzeba, iż dyrekcja troszczy się o nie cokolwiek chociaż z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że zbyt łatwo się zniechęca. Ale niech nam wolno będzie przypomnieć jeszcze, jako rzecz zwłaszcza na niedzielę bardzo pożyteczną, „Gwiazdę Syberji“ hr. Starzeńskiego i inne dzieła tego autora np. „Powrót Konfederata.“

Z operetek przypominamy sympatyczny: „Zamek na Czorsztynie,“ „Paziów królowej Marysienki,“ „Żaków.“

Z literatur obcych domagamy się nie tylko jednych „Zbójców“ Szylera, ale innych tego poety arcydzieł—o których wspomnieliśmy powyżej. Z Szekspira obok Otella, Hamleta—i Makbeta, przedstawionego na dochód p. Ładnowskiego, możnaby wybrać inne rzeczy. Mamy też Calderona w tłumaczeniu Kamińskiego i Karola Balińskiego.

Na prędce wymieniliśmy kilkadziesiąt utworów dramatycznych, które domagają się wprowadzenia na scenę lwowską. Nie możemy tu zupełnego katalogu bibljograficznego zestawiać, bo brak miejsca i cel naszych uwag nie pozwalają nam na to, sądzimy atoli, że ta krótka wzmianka wystarczy, aby wykazać, że jest czem napełniać repertuar.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach
przez
J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

CZĘŚĆ TRZECIA.
Emigrant i wygnaniec.

VI.

Nie powiedzielibyśmy nic nowego, powtórzylibyśmy tylko tysiąc razy przez wygnańców naszych opowiadane rzeczy, gdybyśmy się szeroko rozwodzić chcieli nad tem, że dolę wygnańczą wywiezionych do odległych gubernij lub na Sybir, czy to skutkiem wyroku sądów wojennych, czy tak zwanym „administracjonnym parjadkom,“ o wiele lżejszą i łatwiejszą czyni współczucie, jakiego doznawać zwykli od miejscowych mieszkańców. Przeciętnie wzięty Moskal, ten sam nawet, który „po ukazu“ gotów jest z zimną krwią spełnić najdziksze barbarzyństwo, jest człowiekiem dobrego serca, chętnie dzielącym się z innymi tem co ma, skłonnym do poszanowania wyższości moralnej i intellektualnej, wdzięcznym za dobro jakie mu się wyświadcza, odwzajemniającym uprzejmość, jaką mu się okazuje, litościwym dla nieszczęścia, ochoczym do niesienia pomocy potrzebującemu, umiejącym się przywiązać i kochać. Na tem wszystkiem góruje wprawdzie zakorzenione wielowiekową niewolą i niemal w dogmat zamienione przeświadczenie, że co „prykazano,“ to nie szemrając spełnić trzeba i pod wpływem tego przeświadczenia z tych samych ludzi, których możnaby do rany przyłożyć, robią się bezwzględni i nielitościwi carscy siepacze, natura jednak tego ludu jest dobrą, łagodną, może nawet mięką do zbytku. Anegdota o Suworowie, który w czasie rzezi pragskiej płakać miał nad skaleczonym przypadkowo indykiem, zbyt jest zgodną z charakterem Moskala, żeby mogła być zmyśloną, i nie dziwilibyśmy się wcale, gdyby jaki bezstronny bijograf wykazał, że Murawjew-Wieszatel w stosunkach prywatnych był człowiekiem łagodnym, uczuciowym i serdecznym. Te dodatnie strony charakteru Moskali mieli sposobność poznać wszyscy nasi wygnańcy, którzy mogli się zetknąć z tym ludem po za obrębem jego czynowniczej i żołdackiej sfery, i jednozgodne mogą oddać świadectwo, że jest coś psio poczciwego w naturze naszych ciemięzców, że chociaż każdy z nich rzuci się zapamiętale, nie pytając na kogo, jeżeli go przeciw komu pan jego poszczuje, jeżeli jednak pan nań nie woła „zabij!“ jest stworzeniem łaszącem się i nieszkodliwem... Ten sam sołdat, który bez litości potrąca kolbą skutych po kilku łańcuchami i pędzonych od etapu do etapu, a upadających z wycieńczenia skazańców i nie szczędzi im obelg, nim go przyodziano w mundur sołdacki dzielił się z nimi ostatnią kopiejką i kęsem od ust własnych odjętego chleba, a gdy zrzuci carską obróżę, będzie miał znów za religijny obowiązek wspierać jałmużną „nieszczastnych“ i okazywać im współczucie, jakby w świadomości tego, że ich dola w skutek pierwszego lepszego kaprysu możnowładcy może się stać bez żadnej jego winy jego dolą.

Tego współczucia doznawał i tego poszanowania był przedmiotem sędziwy nasz rotmistrz na wygnaniu, na które został wywieziony bez wyroku, tak zwanym administracyjnym porządkiem. Mogło to łagodzić nieco jego dolę, wątła to przecież i małoznacząca była pociecha, bo serca obce nie mogły mu zastąpić serc najdroższych, obce niebo nie zastąpiło swego nieba, a myśl że nie w ojczystej ziemi przyjdzie mu złożyć kości swoje, ostatnie dni mu zatruwała. Co gorsza, sędziwy ale dzielnego ducha starzec, nie ugiąłby się pewno, gdyby się widział prześladowanym i dręczonym bezpośrednio, gdyby dokoła siebie widział tylko wrogów i tyranów, tymczasem współczucie i życzliwość jakie go otaczały, osłaniały hart jego duszy. Niszczał i więdł w owem miejscu zsyłki, w którem napozór nic mu nie brakowało oprócz możności powrotu; niewidzialne kajdany zakazu wydalenia się z miejsca bardziej mu ciężyły i bardziej go gniotły niżby mu ciężyły i dolegały rzeczywiste, dające się w rękę ująć i zważyć. Z każdym dniem wzmagała się jego tęsknota do kraju i ona to nakoniec złożyła go na łożu boleści z którego był pewnym że nie powstanie, i z którego pod wpływem tej pewności wysłał znaną nam już sztafetę.

Ale zaraz po wysłaniu tej sztafety, którą sobie później jako słabość wyrzucał, ale której już cofnąć nie było podobna, wstąpiła w niego dziwna jakaś, nadnaturalna prawie otucha.

— Nie przeznaczono mi widać umrzeć tutaj — powiedział sobie — kiedy mi mogła przyjść myśl, że jeszcze wnuczkę moją zobaczę, i nie wolno mi nawet umierać nim ona przyjedzie, bo cóżby powiedziała, gdyby przyjechała i nie zastała mnie już na tym świecie?... Powiedziałaby, że się na swym dziadku zawiodła pierwszy raz w życiu, a ja ją przecież od dziecka uczyłem, że ufać mi powinna, że na tem co ja powiem zawsze polegać może... Nie! rotmistrzu, musisz żyć, kiedyś sobie pozwolił wezwać wnuczkę swoją do siebie, oderwać ją od innych, milszych dla niej obowiązków, musisz żyć!...

Powiedział sobie rotmistrz, że żyć będzie i żył. Nietyle zapewne silna wola jego sprawiła, że ustępowała choroba a powracały siły, ile oczekiwanie, nadzieja i wiara że to oczekiwanie daremnem nie będzie, rotmistrz jednak nie badał tego tak głęboko i powtarzał sobie nieraz:

— Żyję, bom powinien.

Obliczywszy odległość, wyrachował mniej więcej czas po upływie którego mógł się spodziewać przyjazdu wnuczki. Dzień obrachowany przypadał na kilka dni przed rzeczywistym przyjazdem Konstancji i tego dnia po raz pierwszy rotmistrz uczuł się na siłach powstać z łóżka.

Doktor nie pozwalał mu na to jeszcze, gospodyni chciała oponować, ale stary się uparł.

— Muszę wstać — mówił — Kostusia przyjedzie lada dzień, przez czas tego leżenia chodzić zapomniałem, wstydby mnie było, gdyby mnie dziecko uczyć miało.

Wstał i chodził, ale choć mu z obliczeń wypadło, że wnuczka tego dnia przyjechać powinna, nie spodziewał się jej przecież wcale w tym dniu.

Nie spodziewał się jej również dnia następnego, ale ciągle był przekonany że przyjedzie lada dzień. Chód jego stawał się codzień pewniejszym, siły jego powracały wyraźnie, rekonwalescencja odbywała się szybko, lekarz zacierał ręce, a gospodyni z zadowoleniem opowiadała sąsiadkom i znajomym o przychodzeniu do zdrowia staruszka.

Ale po upływie dni kilku zatrwożyli się o niego wszyscy.

Nadzieja nagle zmieniła się w pewność. Nie mówił już, że ukochane jego dziecię w tych dniach na wygnaniu go odwidzi, ale twierdził stanowczo, że Kostusia przyjedzie dziś, wsłuchiwał się w lada szmer, który dobiegł do jego ucha, a rozpoznawszy jego przyczynę, mówił do siebie spokojnie:

— Nie, to jeszcze nie ona.

Gdyby ta pewność miała być zawiedzioną, gdyby to „dziś“ upłynąć miało nadaremnie, następstwa takiego zawodu mogłyby być i byłyby zapewne zabójczemi dla osiemdziesięcioletniego starca. Z lekarskiego rzecz biorąc stanowiska, pewność ta była początkiem majaczenia, które w razie zawodu musiałoby się skończyć obłąkaniem. Rotmistrz zbyt silnie, zbyt chorobliwie wierzył, że się jego przeczucie zjiści, i zbyt świeżo odzyskał te trochę sił, które go utrzymywały na nogach, żeby mógł heroicznie przenieść cios

najboleśniejszy, żeby mógł nawet uwierzyć iż się pomylił. Gdyby uwierzył, że noc już nadeszła i że jego Kostusi, jego ukochanego dziecięcia nie ma jeszcze przy nim, przypłaciłby rozczarowanie śmiertelną w jego wieku recydywą. Prawdopodobnie jednak stałoby się inaczej. Stargałyby się wątłe nici skołatanego chorobą umysłu i starzec nie dałby się pokonać oczywistości. Zdawałoby mu się że ma przy sobie swoją wnuczkę, pieściłby się z jej cieniem, rozmawiał z jej nieistniejącem widmem i przeszedłby już za życia w krainę duchów i mar, albo też byłby przekonany, ze „dziś" nie skończyło się jeszcze, że każdy szelest zwiastować mu ją może, że ją za każdem uchyleniem się drzwi zobaczy, a gdyby przybyła nawet, byłoby już zapóźno, gdyż nie byłby już zdolnym poznać jej i uwierzyć w jej obecność, skazany na oczekiwanie aż do grobu.

Tak sobie stan chorego przedstawił lekarz, gdy gospodyni zatrwożona tonem nieomylnej pewności z jaką rotmistrz wypowiadał swoje przeczucie, pospieszyła dać mu znać o tej zmianie w usposobieniu chorego. Poszedł on zaraz do swego pacjenta, i przekonał się naocznie o prawdziwości swojej psychjatrycznej djagnozy.

Staruszek przywitał go rozpromieniony, rozgorączkowany, co wszystko tylko przypuszczenia i obawy lekarza stwierdzić mogło. Mówił ciągle o niezawodnym przyjeździe wnuczki, żadnym sposobem od tego przedmiotu rozmowy odwieść się nie dawał, a gdy doktor poważył się zrobić ostrożną uwagę, że Konstancja może nie dziś lecz dopiero nazajutrz może przyjechać, przyjął tę uwagę z oburzeniem, świadczącem, że ta myśl nieodstępna już się w jego przekonaniach niczem zmodyfikować i zastąpić nie da.

— At! prawicie od rzeczy, Piotrze Andrejewiczu! — zawołał — gdzieżby ona dziś przyjechać nie miała?... to się nawet pomyśleć nie da... Wolno wątpić o wszystkiem, Oto słuchajcie... psst!...

To mówiąc gestem nakazał milczenie doktorowi i wsłuchiwał się tak jak niegdyś w odgłos dzwonka pocztowego.

Doktor nie słyszał najmniejszego szmeru w oddali, starcowi jednak grały w uszach jakieś tajemnicze szelesty.

— Nie... to jeszcze nie ona — rzekł.

Piotr Andrejewicz patrzył na niego ze współczuciem, ale już oponować nie próbował. Przekonał się, że to nie doprowadzi do niczego.

Spytał się tylko zkąd rotmistrz wie tak napewne, że się stać musi to czego pragnął i co przewidywał.

— Zachciałeś! zkąd? — odparł starzec — a zkąd wiedziałem na tydzień przed tem dzień i godzinę, w której mnie tu na Sybir wywiozą?... zkąd przeczułem dzień śmierci mojej córki?... kto mi naprzód powiedział gdym miał owdowieć, że owdowieję za trzy dni, chociaż żona moja, Panie świeć nad jej duszą, była podówczas zdrowa i prędzej o wszystkich przyjemnościach życia niż o śmierci myśleć była powinna... Ja tego nie wiem znikąd, ja to widzę wzrokiem mej duszy... Kostusia moja już dojeżdża... ot, słuchaj.., psst.. nie... to nie ona jeszcze... Co do ciebie, mój Piotrze Andrejewiczu, to ja nawet nie pojmuję, jak można w rzecz tak rzeczywistą nie wierzyć... Przecież ja dzisiaj kończę osiemdziesiąt lat, gdzieżby mi wnuczka moja pomódz nie miała do dźwignięcia dziewiątego krzyżyka, który się wali na me barki?

Lekarz w lot pochwycił sposobność do skierowania rozmowy na inny przedmiot. Urodziny, zaczął zatem winszować, była to jednak próba daremna.

Rotmistrz mu przerwał:

— Dosyć, dosyć Pawle Andrejewiczu nie teraz jeszcze... za godzinę, za parę godzin... nie zasiada się do stołu, dopóki goście zaproszeni i oczekiwani nie przybyli... Ot.. słuchaj...

I nowu słuch zatopił w oddalonych szmerach, które niepochwytne dla innych ludzi, do jego tylko ucha dobiegały w tym dniu.

Bóg nie chciał, żeby oczekiwania starca miały doznać zawodu, — wiemy już że Konstancja przyjechała tego samego dnia.

Rotmistrz był ocalony, przytulił ją do swego łona, ożył — ona wpatrywała się w jego twarz i oblewała łzami długą, białą jak mleko brodę, która mu na wygnaniu porosła.

— Wiedziałem, że dzisiaj przyjedziesz dziecko moje — mówił do niej.

— A ja wiedziałam, że cię zdrowym zastanę — odrzekła — chociaż mnie przestraszyłeś tą sztafetą...

Starzec namarszczył brew, jakiś niepokój objawił się w jego spojrzeniu.

— Nastraszyłem ciebie... ciebie tylko?... a on?...

— Jego nie było...

— Prawda... teraz tam u nas nie takie czasy, żeby mężczyźni w domu siedzieli... Był więc w obozie?...

— Już nie...

— Przestraszasz mnie dziewczyno.. powiedz że mi, że nie ja jeden pozostałem ci na świecie...

— Wyparto ich zagranicę... jest w niewoli... jest...

Tu Konstancja przerwała sobie, jakby przypominając, że z wymówieniem następnego wyrazu spieszyć nie powinna.

— Milczysz... spuszczasz oczy... taisz przedemną... biedne dziecko!... ciebie musiało spotkać jakieś nieszczęście...

— Jest raniony...

— W austrjackiej niewoli!... raniony!... — powtórzył smutnie starzec — starałaś się z nim widzieć?...

— Nie mogłam... wiadomość o tem przyszła do mnie jednocześnie z wiadomością od ciebie... powinnam była spieszyć tutaj...

— Dziecko jesteś!... przysięgłaś mężowi, nie powinnaś go była dla mnie poświęcać...

— Niedobry jesteś, że mi to chcesz ganić, dziaduniu... Ale ja wiem że ty sam czujesz, żem to zrobiła com była powinna.

Rotmistrz patrzył na wnuczkę w milczeniu, ale spojrzenie jego było dosyć wymowne, ażeby Konstancja wątpić nie potrzebowała, że aprobował jej postępowanie i był z niej dumny.

Objęła go rękami, ucałowała i rzekła:

— A widzisz dziadku, że mnie już nie łajesz, bo nie było za co łajać twojej Kostusi. Wiem ja i teraz co mam robić, nie badaj mnie tylko i niczego mi nie gań, mój dziaduniu, a nie dziw się, że choć tu jestem nie będę ciągle przy tobie, że się tylko trochę z tobą popieszczę, i znowu na godzinkę pozostawię samego, potem powrócę i uściskam, i znów za interesami memi pobiegnę, bo ja mam dużo, bardzo dużo interesów w tem miasteczku.

Rzeczywiście po godzinnej rozmowie, po opowiedzeniu rotmistrzowi wszystkiego co mu opowiedzieć było można, o losach jakie przebyła od chwili rozstania się z nim i o przebiegu sprawy narodowej, po pierwszem nacieszeniu się obojga wzajemnym widokiem, Konstancja pożegnała się z dziadkiem, mówiąc że za interesami swojemi spieszy, i rozpytawszy się gospodyni gdzie mieszka doktor, który leczył rotmistrza, pobiegła prosto do niego.

Wieść o jej przyjeździe oddawna się już po miasteczku rozeszła; Piotr Andrejewicz wiedział więc kogo przyjmuje.

— Przyszłam panu podziękować za starania jakiemi otaczałeś mojego dziadka...

Lekarz zaczął się wypraszać od podziękowań w sposób tak naturalny i serdeczny, że Konstancja musiała zmienić przedmiot rozmowy, ażeby mu nie robić przykrości.

— I zarazem — dodała — przyszłam pana zapytać, czy nie byłoby to narażeniem życia mojego dziadka, gdyby miał teraz odbyć długą podróż?.,.

— Pod opieką osoby kochającej i troskliwej, a chcącej pamiętać o radach jakiebym jej udzielił, nie przedstawiałoby to żadnego niebezpieczeństwa.

— Wracasz mi pan życie, doktorze — zawołała Konstancja rozpromieniona.

— Jakto? więc rotmistrz...

— Ma być wolny!... tak jest, ma być wolny... ale sza! cicho! na miłość boską, ani słowa o tem jeszcze, doktorze. Tę wiadomość może on tylko odemnie usłyszeć, inaczej zabiłaby go, pojmujesz pan... cały czas, który tu przeżył, zostawał pod wpływem przekonania, ze już nigdy ojczyzny nie zobaczy, a pan wiesz co to znaczy miłość ojczyzny!... Przybyłam tutaj ażeby go uprzedzić, że dzięki staraniom naszym za parę dni zostanie uwolnionym, i ażeby wszystko tak przygotować, żeby zaraz po nadejściu uwolnienia mógł odjechać.

Mówiła to tak naturalnie i swobodnie, że doktorowi ani przez myśl przejść nie mogło przypuszczenie, że to wszystko było tylko wymysłem, konspiratorską sztuczką, mającą na celu wykradzenie jeńca z niewoli.

Twierdzenie, że nagła wiadomość o uwolnieniu mogłaby narazić życie rotmistrza, ze stanowiska nauki nie mogło się wydać doktorowi przesadnem, owszem uznał on całą słuszność obawy jaką pod tym względem objawiała Konstancja, i sam ją zachęcał, żeby jak najostrożniej przystępowała do oswojenia starca z myślą powrotu.

— Już ja wszystko obmyśliłam doskonale — odrzekła żona Stanisława — pojmujesz pan, panie doktorze, miałam dość czasu myśleć o tem przez czas kilkotygodniowej podróży... Trzeba nam tylko uprzedzić naczelnika miasta, żeby wiadomość o bliskim wyjeździe mojego dziadka prędzej od niego niż odemnie nie przyszła.

*

Doktor chętnie się podjął towarzyszyć Konstancji do horodniczego, gdzie już przy pomocy sojusznika, którego sobie tak zręcznie potrafiła pozyskać w lekarzu, rola jej wcale nie była trudną. (C. d. n.)

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Innego rodzaju, aniżeli dotychczas rozpatrzone, są niewielkie wprawdzie ale bardzo ładne utwory: *Anioł upadły* — *Zaklęte ptactwo* i *Wezwanie Bogów*, wszystkie trzy z roku 1859. Z powodu swej formy i cech wewnętrznych mieszczą się owe podobnie jak dumy i śpiewy historyczne na pograniczu między epiką a liryką właściwą, okazując oba one pierwiastki poetyczne w harmonijnem zespoleniu. Ponieważ jednak główny ich motyw znajduje swe źródło w samej wyobraźni poety a nie w jakichś pośrednich impulsach lub wpływach zewnętrznych, stąd też słusznie idąc za ich twórcą, zwać je można fantazjami w obszerniejszem tego słowa znaczeniu.

Anioł upadły to sam szatan, ów anioł pychy, strącony od Boga w wieczne piekieł przepaści. Uczuwa on głęboko swe poniżenie i niemożliwość osiągnięcia dawnego stopnia. Rozdarcie moralne upadłego anioła, „zolbrzymionego niedościgłem pragnieniem“, oddane wybornie w następujących porównaniach:

Kto kochał niekochany, kto z potęgą w duszy
Strącon był z drogi chwały, a pamięć zachował,
Kto świat miłością ducha swojego osnował
W tęcze, i z szczytu marzeń spadł w nicość co-
[dzienną;
W kim zemsty niespełnionej szereg lat nie zgłuszy...
Nie, ten jeszcze nie pojmie tych żądz, tych katuszy,
Które ma anioł ony na wieczność bezdenną,
Straszną — nieodmienną!...

I leciał szatan, temi trapiony myślami, ku ziemi — i czuł woń jej świeżą, niepokalaną, niesioną Panu w dani; i widział jak dobrych ludzi westchnienia i pacierze czyści skrzydlaci aniołkowie brali w swe ręce, a zamienione w róże, lilje, fiołki i perły składali u tronu Przedwiecznego. Patrząc na to, po raz pierwszy

Dumy zbył, przejęty aż do dna tęsknotą;
I uczuł, jak szczęśliwym można być w pokorze,
Jeżeli ona z świętej wykwitła miłości...

Westchnął! — lecz oto od jego oddechu nieczystego pierzchli oni niebiańscy,

I nieba zatrzasnęli za sobą chmur cieniem!

Zostawiony ciemnościom wódz piekieł ocknął się, i dzikszym był teraz niż w on czas, kiedy się ujrzał z nieb strąconym.

Ty będziesz światy tworzyć, ja — truć światy twoje!

wołał we wściekłości — i poleciał czarny w ciemną przepaść...

Zaklęte ptactwo na pierwszy rzut oka zdaje się mieć swe źródło w miejscowych podaniach Jawornika, i wygląda jakby skazka ludowa w poetyczną przyodziana szatę. Jeżeli się jednak zważy na szczegóły, wówczas aż nadto przebija twórcza robota wyobraźni — nie ludu, ale samego poety. Turkawki, dzięcioły, sokoły, sępy i kruki, smutne i nieczułe jakby bez duszy, to żołnierze polegli w niedawnym boju, ukarani tak za niewiarę i poswarki. Tu miejsce ich pokuty, która kiedyś się skończy; bo przecież przyjdzie chwila,

......że się zjawi
Dla tych ptaków lepsza zorza;
Ze zaklęcia ich wybawi
Burza straszna jak ryk morza.

Ta burza — to przyszły wielki bój narodu. Utwór nasz zakrawa tedy, jak widzimy, bardziej na alegorją, niż na upoetyzowaną miejscową tradycją.

Wezwanie Bogów pisane kształtem greckim. Poeta zaprasza wielkie potęgi klasycznej Hellady, ażeby ze swych siedzib górnych zstąpiwszy „godnie urządziły jego życie.“ O Afrodycie mówi, że ją zna i czuje potężną jej władzę — miłość; ale gdyby ona przyszła była doń nie wsparta od innych bóstw Olimpijskich, bez ich wzniosłych darów,

By zająć serce szlachetne i młode —

wówczas zaprawdę zaparłby się jej, boć mówi:

.....Wiedz, ja piękności nie kochałem!

Gromowładnego Zeusa błaga o orła i pioruny, aby mógł walczyć z „Persami“, kiedy przyjdą zabierać jego ziemię; wielką Palladę prosi o egidę Gorgony, ażeby nią mógł w oczy błyskać tym, którzyby zapomnieli,

......że dziećmi orlemi
Są, że im tylko orlo żyć przystoi!...

U Hefajsta żąda zbroi, u Feba zaś złotej lutni, którąby służył narodowi.

Moi — niech żyją tem, co im wyśpiewam!
A racz kierować palce u mej ręki,
Ilekroć będę śmiał tknąć się bardonu,
Niech go ton wówczas nie znieważa miękki,
Lecz Salaminy głos, lub Maratonu!...

Sobie samemu życzy końca, jaki był trzystu owych pod Termopilami; gdyby go jednak „Ares nie powołał“,

Daj mi, o Febie! z blaskiem twego czoła
Po bojach śpiewać chwałę bojów nowych....

Wszystkie drobniejsze utwory, o których teraz mówiliśmy, drukowane były w *Dzienniku literackim* między r. 1856 a 1863; niektóre z nich znalazły pomieszczenie w zbiorku p. t. „*Poezje Mieczysława Romanowskiego. Lwów* (a właściwie Lipsk) *1863*.“

Z tego czasu pochodzi jeszcze dość znaczna liczba innych poezyj, których szczegółowo nie rozpatrywaliśmy, kreacyj przedewszystkiem lirycznych. Będziemy mieli jeszcze sposobność wspomnieć o nich; — teraz zaś pora powrócić do osoby poety.

* * *

Powiedzieliśmy na początku niniejszej monografji, że Romanowski w r. 1853 przybył do Lwowa, ażeby tutaj z woli ojca oddać się studjom prawniczym.*) Jakoż rzeczywiście w marcu tego roku, po złożeniu egzaminu dojrzałości, widzimy go uczniem uniwersytetu. Wydział jurydyczny ukończył w r. 1857.

Jako pisarz wystąpił publicznie w r. 1854.

Nie od tego dopiero jednak czasu datują się pierwsze porywy i próby poetyczne młodzieńca. Wrodzona zdolność do pieśni bardzo już rychło obudzać i objawiać się w nim poczęła. Wspierały ją i rozwijały szczęśliwe stosunki, śród których się znajdywał. Urocze okolice Żukowa z widokiem na potężny łańcuch Karpat, nastrajały uroczyście wrażliwą duszę chłopięcia; a myślom jego i rojeniom, okrom cudów pięknej przyrody, przydawały jeszcze nowego, wznioślejszego pokarmu żywe wzory i ślady cnót obywatelskich i wielkich poświęceń, na które patrzał w kole rodzinnem, a oprócz tego także zabytki i tradycje miejscowe. Nie daleko Żukowa leży Obertyn, gdzie do dziś widne są mogiły jako pamiątka zwycięztwa Tarnowskiego nad Wołoszą. Tam Mieczysław często lubiał wybiegać i spędzać całe godziny samotnie, na dumaniach....

Najpierwsze wylania poetycznej duszy pochodzą z czasu, kiedy był uczniem stanisławowskiego gimnazjum. Mamy je przed sobą w małym oryginalnym seksterniku.**) Są tu wierszyki, kreślone jeszcze w r. 1851, a zatem w chwili, kiedy poeta nasz miał lat — dopiero szesnaście! Niektóre może wejdą kiedyś do zbiorowego wydania. Uwagi godna, że wrażenie pierwszych szczęśliwie złożonych strofek utkwiło żywo i później w umyśle Romanowskiego. Oto, co sobie o tem zanotował w swym dzienniczku pod dniem 14go lutego roku 1855.

„Nie pomnę, czym się czuł kiedy szczęśliwszym, jak w owej chwili, kiedy napisałem *Modlitwę wiosenną*. Jam wierzył — wierzył ślepo — z całą ufnością dziecka! Była to wiosna — wieczór kwietniowy, cichy i piękny (piękniejszego może mieć nie będę, chyba na pobojowisku!). Wyszedłszy ze szkoły (tej przeklętej szkoły dla młodzika) poszedłem na moją zwykłą przechadzkę ku brzegom Bystrzycy. Błądziłem po łozach, marząc o wolności ojczyzny mojej, o czynach, bitwach, zwycięztwach, o poświęceniu się, o

---

*) Prostujemy na tem miejscu błędnie wydrukowaną datę, jakoby to nastąpiło w roku 1852. Również prostujemy podaną tam wiadomość (str. 12), jakoby rodzice Mieczysława Romanowskiego byli właścicielami Żukowa. Byli oni dzierżawcami tej wsi, wypuszczonej sobie od spadkobierców hr. Walerjana Dzieduszyckiego. Powyższe wiadomości otrzymaliśmy już w czasie drukowania rozprawy od rodzonej siostry poety. — Pozwalamy sobie dorzucić tutaj jeden szczegół z dziecięctwa naszego pisarza nie obojętny, bo wskazujący wyraźnie na przyszłe jego przeznaczenie. W piątym roku życia popadł Mieczysław w ciężką chorobę, której skutkiem było rozdrażnienie nerwowe, odbierające sen dziecięciu. Smutny ten stan trwał już przez tydzień i żadne leki nie pomagały. Przypadkiem wpadła siostra poety na myśl zabawiania chorego brata grą na fortepjanie. Smętne, ciche i czułe piosenki ze strun wypływające cudowną swą harmonją usypiały dziecinę. Tak przeszło rok kołysała i koiła muzyka jego cierpienia.

**) Uprzejmości Wnej Jadwigi Romanowskiej bratanicy Mieczysława zawdzięczamy znajomość tych pierwszych próbek poetycznych jak niemniej dzienniczka, z którego wyjątki podajemy naszym czytelnikom. Skoro zaś już wymieniamy źródła, z których korzystaliśmy w niniejszej biografji, niech nam wolno będzie prócz Wnej J. Romanowskiej złożyć dzięki za udzielone szczegóły także Wnej pani Józefie Skwarczyńskiej siostrze, Wnemu Emerykowi Romanowskiemu bratu i Wnemu Mieczysławowi Pawlikowskiemu przyjacielowi Mieczysława Romanowskiego.

śmierci bohatyrskiej. Marzyłem tak cudnie, że dzisiaj tęsknię nie raz za obrazami mojej fantazji rozbudzonej uczuciem. Łozy na brzegach Bystrzycy ledwie co pękały i okryte były bażkami. Znużony chodzeniem usiadłem na kłodzie. Nie wiem dla czego, opanowała mię dziwna tęsknota... Po chwili ukląkłem, zdjąłem czapkę i modliłem się rzewnie. Po modlitwie przeszedłem jeszcze kilkakroć ścieżki między łozami. Nagle odbiły mi się cztery wiersze pierwszej zwrotki w duszy. Wyjąłem spiesznie papier i ołówek, napisałem je. Wnet cała *Modlitwa wiosenna* urosła na papierze. Właśnie słońce zachodziło w tej chwili; ja byłem tak szczęśliwy, taki zachwycony, żem prawie od zmysłów odchodził. Padłem na ziemię, całowałem ją, skakałem, śmiałem się, płakałem... Czytałem ją i odczytywałem ze dwadzieścia razy w szale nie będąc pewny, czy mi się marzy? czy w istocie udało mi się napisać piosenkę? Przekonawszy się o prawdzie, pędziłem do domu jak szalony, unikając po drodze znajomych, by mi nie psuli powitaniem mych marzeń czarownych. Przyszedłszy do domu padłem na łóżko żelazne i przefantazjowałem pół nocy jak najcudniej, tworząc w duszy widziadła tak czarujące, tak pełne anielskiego uśmiechu.... że mi słów brakuje na ich opisanie. Sen wreszcie i znużenie przemogły—usnąłem twardo. Nazajutrz rano byłem w szkole jak inny, witałem towarzyszy serdecznie, cieszyłem się z nimi. W kościele przy pacierzach zmówiłem moją *Modlitwę wiosenną*... Kochałem wszystkich, a wszystkich...“

(C. d. n.)

Messjanizm i Towiańszczyzna.

w ogólnym zarysie.

Napisał

CZESŁAW PIENIĄŻEK.

(*Ciąg dalszy.*)

Skoro tylko wydano rozporządzenie sprowadzenia zwłok Napoleona, silniejsze niż u Francuzów, powstały w sercach emigracji polskiej wrażenia. Słowacki napisał z tego powodu cudny wiersz w czerwcu 1840 r. Rząd francuski mając do czynienia z wieloma sprawami, które dlań prawdziwie były niebezpieczne, do niebezpiecznych nie liczył wcale bonapartyzmu, bo wiedział dobrze, że entuzjazm dlań dawno już przygasł w narodzie. To też polski poeta uchyla czoła przed trumną wielkiego człowieka i przyznaje mu potęgę pozagrobową, tradycyjną, historyczną, potęgę idei, jaką po sobie zostawił.

„Ale nigdy, o nigdy, choć w ręku
Miałeś berło, świat i szablę nagą,
Nigdy, nigdy nie szedłeś śród jęku
Z taką straszną królewską powagą,
Z takiem strasznem na przyszłość obliczem,
Jak dziś prochu, gdy wracasz tu — niczem.“*)

W pół roku potem, z początkiem r. 1841 już po złożeniu popiołów w tumie inwalidów, wypływa potężny natchnieniem wiersz, z pod pióra Krasińskiego.

„.....Jedno tylko ciało
Snem wiecznym zdjęte, lecz owiane chwałą,
O Boże Wielki! jedna tylko trumna,
Gdy z morza weszła nad świat — jak wschodzące
W dzień sądny świata, na wieki gasnące,
Olbrzymie, zmarłe u stóp Boga słońce!
Ha! jedna trumna — jedno tylko ciało.
Na całej ziemi jedynem się stało
Ducha ludzkiego godłem ocalonem!
Bo w dzień pogrzebu po nad głów miljonem,
Gdy szła ta trumna cała, zachowana,
W srebrnej kadzideł palących się chmurze,
Z mieczem zwycięstwa, w cesarskiej purpurze,
Koroną świata ukoronowana!
Taka z jej głębi zmartwychwstania siła
W skrzepłą pierś ludu gromem uderzyła,
Że ta pierś ludu na chwilę odżyła,
I miljon kolan przypadło do ziemi,
I wszystkie razem wzniosły się ramiona
W stronę tej trumny, płynącej nad niemi
Jakby z niej wstawał duch Napoleona!
I głos tysiąców, jak piorun gdy bije
Grzmiał umarłemu: „Niechaj Cesarz żyje!“
Lecz trumna przeszła — życia błyskawica!
A już do śmierci powrócił świat cały,
— — — — — — — — — — — — —
I ziemia cała, jest giełdą bez Boga.“**)

Strupieszałe, zawichrzone — według poety — społeczeństwo, odżyło na chwilę galwanicznie, skoro tradycja bohaterskich dni odżyła mu w pamięci, na widok trumny ostatniego rycerza; wraca atoli do kramarskich zajęć, bo nie ma nikogo, ktoby ideę z tradycji do wcielenia się powołał, a ona jedna świat odrodzić zdolna.

Dla Mickiewicza był napoleonizm niejako artykułem wiary. Wrażenia, które po większej części ten pietyzm dla napoleońskiej tradycji w nim wywołały, a które mu nigdy nie zatarły się w duszy — wypowiedział w Panu Tadeuszu, opisując wiosnę 1812 r. i kończąc opis wiosny słowami:

„Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!...
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką miałem wiosnę o życiu.“
(*Pan Tadeusz księga XI.*)

Fanatycznie oddany bonapartyzmowi, widzi potem zbawienie ludów w objęciu władzy przez Napoleona III i wypowiada to w łacińskiej odzie do tegoż napisanej. (*Ode in Bomersundum captum.*) Za rządów jeszcze Ludwika Filipa przepowiadał przecież powrót i wyniesienie Napoleonów, a następnie „uporczywie zaprzeczał tym, którzy w prezydencie rzeczypospolitej, widzieli tylko słabego, nieudolnego człowieka, i lada podmuchem obalić go myśleli. Ponieważ z wyniesienia Bonapartych, spodziewał się wielkich wypadków, widocznie coraz bardziej ożywiał się i rozweselał.“ **)

Z tego wszystkiego łatwo teraz wyrozumieć, jak silnemi były wrażenia Mickiewicza, które widok sprowadzonych zwłok napoleońskich, w duszy mu rozbudził. To też wzrastało w nim mazycielstwo i rodziło przywidzenia, wizje, widziadła rozkołysanej wyobraźni a „te widma ekstatycznej fantazji, tak dalece nabierały w jego oczach znaczenia przedmiotowego bytu, że je poczytywał za kształty, za ciała — nie przez siebie stworzone.“ ***)

W liście do jenerała Skrzyneckiego (z 23 marca 1842 r.) pisze sam o tem między innemi: „W miesiącu grudniu (1840), dnia nie pamiętam, kiedy oglądałem przygotowania do egsekwji Napoleona, miałem w biały dzień widzenie: widziałem człowieka z głębi kraju jadącego wózkiem jednokonnym, w biedzie, po błocie i mgle; i uczułem że ten człowiek wiezie wielkość! wielkie rzeczy! Nie brałem tego za widzenie prorockie, ale za nadzwyczaj żywy obraz poetycki. Chciałem go opowiedzieć, ale postrzegłem niepodobieństwo do prawdy i dałem pokój.“*)

To widzenie przypomniało się później Mickiewiczowi, gdy się już zapoznał z Towiańskim, i należało do rzędu tych pobudek, które go do uwierzenia w posłannictwo szlachcica litewskiego skłoniły; pisze więc w tymże samym liście:

„Po poznaniu się z Andrzejem nie prędko dowiedziałem się o szczegółach jego podróży, i uznałem prawdę widzenia...“

Na owej uczcie, na cześć jego w dzień Bożego Narodzenia 1840 urządzonej, o czem była już mowa, — improwizował Mickiewicz, cały pod wpływem latarni czarnoksięskiej przeróżnych widziadeł imaginacji. W liście dopiero przytoczonym, tak się o tej improwizacji swojej wyraża:

„W roku przeszłym, kilkudziesiąt Polaków dawało mi ucztę, czułem się w wielkiem podniesieniu ducha i powiedziałem im, „że wszyscy są na złych drogach, że ich rozumowania, zabiegi nigdzie nie doprowadzą, i że jeśli Bóg zlituje się nad nami, to przyszle człowieka, który będzie dla nas prawem żywem, którego słowa, czyny i gesta będą artykułami“... Nie pamiętam słów poezji (improwizacji), a ta była ich treść; zaklinałem, żeby ją pamiętali. Wielu już zapomniało. Zan Stefan, którego widziałeś Jenerale, kiedy przyszedł nazajutrz do mnie, powiedziałem ze smutkiem głębokiem,„ że gdyby mi wówczas nie przerwano, wielką bym rzecz oznajmił, ale już nie byłem nazajutrz w stanie podnieść się do tej wysokości. Przerwano mnie wówczas; jedni protestowali w imię rozumu, drudzy myśleli że mówiłem o Ks. Czartoryskim, kiedy wołałem, że tylko z takiego męża przeznaczenia mogą wyjść kapłani, królowie i hetmani...“

Wszystko to przypomniało się Mickiewiczowi, skoro stanął przed nim Towiański i uderzył mu w naprężone struny wyobraźni; gdy mu powiedział, że posiada posłannictwo dokonania dzieła, jakie Napoleon zaczął, że jest wcieleniem ducha Napoleona.

Trafił tem Towiański w najsłabszą stronę, w ową piętę achillesową u Mickiewicza, a zwycięstwa dokonał stanowczo, gdy mu zapowiedział że posiada władzę widzenia tajemnic w życiu poety i moc uzdrowienia jego żony. Co do pierwszego rzecz się tak miała, że Mickiewicz zwierzyć się miał kiedyś przed Odyńcem z jakiejś tajemnicy lat swoich młodych, wówczas — gdy razem podróżowali. Po latach zapomniał o tem zwierzeniu Mickiewicz, a Odyniec wróciwszy do kraju, wygadał przed kimś ową tajemnicę, podobno przed Dr. Gutem, zkąd rzecz się do wiadomości Towiańskiego dostała. Obecnie w zdumienie wprowadził Towiański Mickiewicza, powtórzywszy mu ową zasłyszaną historję i umocnił w nim wiarę w swoją moc nadprzyrodzoną.

Mickiewicz kochał żonę uczciwie, serdecznie, toż łatwo pojąć, jak okropnej doznawać musiał boleści, z powodu obłąkania żony. Czuł

*) Na sprowadzenie zwłok Napeleona. Wydanie pośmiertne pism Julјusza Słowackiego. Lwów 1866. T. I. str. 53.

*) Pisma Zygmunta Krasińskiego. Lwów 1875. T. II. str 374. Na sprowadzenie zwłok Napoleona.

**) Wspomnienie o Adamie Mickiewiczu przez Marję Gorecką.

***) Małecki.

*) Korespondencje Adama Mickiewicza. Paryż 1870. T. I str. 186.

strasznie to własne i dzieci swoich osierocenie — a Towiański zapowiada mu, że wyleczy obłąkaną i w istocie dopełnia tego.

Towiański zajmował się na Litwie także i magnetyzerstwem, co naprowadza na przypuszczenie, że musiał wiele czytywać rozpraw, traktujących o stosunkach jestestwa człowieka fizycznych z duchowemi. Było mu niezawodnie znanem oddziaływanie imaginacji na stan fizyczny człowieka, tylekrotnie doświadczane już oddawna, przy różnych praktykach lekarskich.*) Widocznie posiadając z książek pewną w tym przedmiocie wiadomość, a może nabywszy jej od Dr. Guta, podjął się wyleczenia obłąkanej i pojechał wraz z Mickiewiczem do Vanvres koło Paryża, gdzie chora w zakładzie obłąkanych się znajdowała. Mimo opozycji lekarzy, zabrali ją z sobą, a gdy wrócili do Paryża, Towiański z namaszczeniem proroka kazał jej klęknąć przed sobą, klęczącą zgromił za grzechy — a potem wysłał do spowiedzi, w skutek czego też istotnie wyzdrowiała zupełnie.**)

Doświadczenia lekarskie znalazły ogromną liczbę chorób i cierpień przeróżnych, pochodzących z wyobraźni, w niej mających swe źródło — i przez nią też wyleczyć się dających. Zadumy, obłąkania, nawet padaczki, powstają często z przyczyny silnego wrażenia wyciśniętego na wyobraźni, i choroby te leczono też najczęściej postrachem, lub jakimkolwiek innym środkiem, na wyobraźnię działającym, a leczono je ze skutkiem najpomyślniejszym. Czyż nie doświadczamy w codziennem życiu, jak usposobienie nasze moralne oddziaływa na stan naszego zdrowia? Radość, szczęście, spokój — dają zdrowie, podtrzymują świeżość sił, gdy boleść moralna, smutek, wzburzenie umysłu, przestrach, tęsknota — trawią je, niszczą i często kładą na łoże śmiertelnej choroby.

Jakże ciekawą illustrację tych wzajemnych stosunków siły fizycznej i duchowej w człowieku, przedstawiają np. stygmata Śtgo Franciszka z Asyżu i innych mistyków religijnych. W obec zatem rozlicznych praktyk lekarskich, już od lat kilkudziesięciu, a i dłużej znanych, nawet pozoru cudowności sprawa uzdrowienia pani Mickiewiczowej przedstawiać nie będzie.***) Co najwięcej dowodzi tylko, że Towiański wiedział o tem, o czem wówczas — prócz lekarzy — mało kto wiedzieć za stosowne i potrzebne uważał. Z tego wszystkiego nie zdawał sobie sprawy Mickiewicz nie rozbierał rzeczy rozumem, bo i usposobienie jego w ogóle i nastrój ducha ówczesny i okoliczności wszelkie skojarzyły się na to, aby w tej całej sprawie upatrywać cud zdziałany przez „wysłannika Bożego.“

(C. d. n.)

*) Wielce ciekawą i bardzo zajmującą rozprawę w tym przedmiocie, napisał Dr. Stella Sawicki w *Tygodniu* lwowskim, pod tytułem: „Magnetyzm zwierzęcy i jasnowidzenie“. Początek rozprawy w Nr. 50 z r. 1875.

**) Wiadomość tę, znaną powszechnie — podajemy za Witwickim, lecz nadmienić wypada, że są inne jeszcze wersje, tyczące się tego momentu uleczenia pani M. Mianowicie powiadają, że jeszcze w Vanvres — inni: że śród drogi do Paryża, uleczenie nastąpiło.

***) Jeszcze i to nadmienić tu wypada, że pani M. po połogach zapadała w stan melancholji, przechodzącej w obłąkanie, które atoli długo nie trwało nigdy. Być więc może, że właśnie w tej chwili zjawił się Towiański, gdy choroba już sama przez się ustępować zaczynała.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tajemnica.

Rozdział XIV.

(Ciąg dalszy.)

(Upłynęły trzy lata. — Kwestja zbudowania nowego okrętu. — Co w tej mierze postanowiono? — Pomyślność osady. — Warsztat do budowy. — Zimna na południowej półkuli. — Pencroff rezygnuje. — Pranie Lieliny. — Góra Franklina.)

Upłynęły trzy lata od ucieczki więźniów z Richmondu, i ileż to razy przez ten czas wspomnieli o ojczyźnie swojej, wciąż ją mając na myśli.

Nie wątpili, że wojna domowa musiała się już dotąd skończyć i niemożebną zdawało im się rzeczą, ażeby zwycięstwo nie utrzymało się przy świętej sprawie Północy... Jakiż jednak miała przebieg ta straszliwa wojna? Ile krwi kosztowała? Którzy z ich przyjaciół legli w tej walce? Oto kwestja, o której rozmawiali najczęściej, nie przewidując jednak nawet jeszcze dnia, który im dozwoli oglądać swój kraj na nowo. Czyż więc powrócić do swojej ziemi choćby na kilka dni, ścisnąć na nowo węzły społeczne z resztą świata, utworzyć jakąś łączność pomiędzy ojczyzną a tą wyspą, a następnie przepędzić najdłuższą, najlepszą może część istnienia swego w tej osadzie, której dali początek i któraby wówczas należała do metropolji — było mrzonką niepodobną do spelnienia?

Tak jest, dwa były tylko środki urzeczywistnienia tej nadziei: albo jakiś statek musiał się pojawić pewnego dnia na wodach wyspy Lincolna, lub też osadnikom pozostawało samym zbudować okręt dostatecznie silny do dostania się morzem do ziem najbliższych.

— Chyba że — mawiał Pencroff — chyba że nasz genjusz dostarczy nam innych środków powrotu do ojczyzny!

I zaiste, gdyby ktoś przyszedł do Pencroffa i Naba z wieścią, że okręt o trzystu tonnach oczekuje na nich w zatoce Rekina, lub w Porcie Balonowym, nie wywołałoby to z ich strony najmniejszej oznaki zadziwienia. Jeżeli chodziło o tajemniczego protektora, wszystkiego się po nim spodziewali.

Ale Cyrus Smith, mniej ufny, radził im powrócić do rzeczywistości, a to właśnie gdy była mowa o zbudowaniu statku, sprawie istotnie palącej, ponieważ trzeba było przewieźć i złożyć na wyspie Tabor jak najprędzej akt wskazujący nowe miejsce pobytu Ayrtona.

Ponieważ „Bonawentura“ przestał istnieć, potrzeba było najmniej sześciu miesięcy do zbudowania nowego statku. Tymczasem zima się zbliżała, podróż więc ta nie mogła się odbyć przed przyszłą wiosną.

— Mamy tedy dosyć czasu do przygotowania się przed nadejściem pięknej pory roku — rzekł inżynier, rozmawiający właśnie o tych rzeczach z Pencroffem. — Sądzę zaś, mój przyjacielu, że będąc zmuszeni przerobić na nowo nasz statek, powinniśmy mu nadać znaczniejsze rozmiary. Przybycie jachtu szkockiego na wyspę Tabor, jest rzeczą bardzo niepewną. Może być nawet, że przybył już przed wielu miesiącami i odpłynął, po próżnych poszukiwaniach śladów Ayrtona. Nie byłożby tedy stosownie, zbudować okręt, któryby w danym razie mógł nas przenieść bądź to na archipelagi polinezyjskie, bądź to do Nowej Zelandji? Cóż sądzisz o tem?

— Sądzę panie Cyrusie, sądzę, że potrafisz tak samo zbudować wielki statek, jak i mały. Ani drzewa ani narzędzi nam nie braknie. To tylko kwestja czasu.

— A ileżby czasu wymagało zbudowanie statku, od dwustu pięćdziesięciu do trzystu ton ciężaru? — spytał Cyrus Smith.

— Najmniej siedem do ośmiu miesięcy — odrzekł Pencroff. — Nie trzeba jednak i o tem zapominać, że zima nadchodzi i że przy silnych mrozach obróbka drzewa jest trudna. Liczmy więc na kilka tygodni bezrobocia, i jeżeli statek nasz stanie zupełnie w pogotowiu na listopad przyszłego roku, będziemy mogli za bardzo szczęśliwych się uważać.

— Wybornie — odpowiedział Cyrus Smith — właśnie to będzie najpomyślniejsza pora do przedsięwzięcia ważniejszej jakiej wycieczki, bądźto na wyspę Tabor, bądź też do dalszego jakiego lądu.

— Rzeczywiście, panie Cyrus — potwierdził marynarz. — Zabieraj się więc pan do swoich planów, robotnicy bowiem czekają a i Ayrton, jak sądzę, potrafi nam doskonale podać rękę przy tej sposobności.

Osadnicy, spytani o radę, zgodzili się na projekt inżyniera, bo też w istocie nic lepszego wymyśleć nie było podobna. Prawda, że zbudowanie okrętu dwustu do trzystu tonnowego było zadaniem nie lada, ale osadnicy mieli zaufanie do siebie, usprawiedliwione już tylokrotnem powodzeniem.

Cyrus Smith tedy zajął się wypracowaniem planu i podaniem modelu statku. W tym czasie zaś towarzysze jego zabrali się do wyrębu i zwózki drzewa, mającego służyć na belki krzywe, oklepkowanie i szlak okrętu. Lasy Zachodniej Ręki dostarczyły najlepszych dębów i wiązów. Skorzystano z duktu wyciętego podczas ostatniej wycieczki dla utorowania szerokiej drogi, której nadano imię drogi Zachodniej Ręki — a drzewo przeniesiono do „dymników“ kędy urządzony został warstat do budowy okrętu. Co do drogi wspomnianej powyżej, nakreślona ona była nieco kapryśnie, o zarysie jej bowiem stanowił głównie wybór drzewa, w każdym razie jednak ułatwił się przez nią przystęp do znacznej części półwyspu Wężowego.

Ważną było rzeczą ściąć jak najprędzej i porznąć drzewo, nie można go bowiem było użyć na świeżo, a do stwardnienia potrzebowało dosyć czasu. Cieśle nasi tedy pracowali gorliwie przez cały kwiecień, podczas którego nie zaszło nic ważnego, okrom kilku nawałnic równonocnych, gwałtownych dosyć. Pan Jow pomagał im zręcznie, będźto włażąc na drzewa i umocowując u ich szczytu liny służące do zwalenia drzew na ziemię, bądź też pożyczając swoich potężnych barków do przenoszenia pni, obciętych z gałęzi.

Następnie wszystkie drzewo złożono pod obszernem poddaszem z desek, zbudowanem w pobliżu „Dymników“ i tam czekać miało chwili użycia do budowy statku.

Kwiecień był dosyć piękny, tak jak bywa często październik na półkuli północnej. Jednocześnie zabrano się również gorąco do pracy w ziemi, i wkrótce wszelkie ślady spustoszenia znikły z Wielkiej Terasy. Młyn odbudowano a

na miejscu dawnych kurników, wzniosły się nowe. Zdawało się niezbędną rzeczą nadać im znaczniejsze rozmiary, ponieważ gromada ptasia rozrastała się w olbrzymim stosunku. W stajenkach mieściło się obecnie pięciu onaggasów, z których cztery silne, dobrze wyćwiczone, pozwalały się już zaprzęgać i jeździć na sobie wierzchem, a piąty właśnie co tylko się ulągł. Inwentarz osady zwiększył się o jeden pług i użyto onaggasów do orki, jakby prawdziwych wołów z Yorkshire lub Kentucky. Każdy z osadników brał na siebie cząstkę pracy i ręce ich nie próżnowały. To też co za świetne zdrowie mieli ci robotnicy i jakiż nieporównany humor ożywiał wieczory w Pałacu Granitowym, gdy układali tysiące projektów na przyszłość!

Rozumie się samo z siebie, że Ayrton podzielał najzupełniej wspólne zajęcia i że nie było już nawet mowy, ażeby miał mieszkać w zagrodzie. A jednak nie przestawał być smutnym, mało się udzielającym i łączył się więcej w pracy niż w zabawie z towarzyszami. Ale przy pracy był to robotnik tęgi, silny, zręczny, pomysłowy i rozumny. Kochali i szanowali go też wszyscy, co nie mogło ujść jego uwadze.

Ale i zagrody także bynajmniej nie zaniedbano. Co dwa dni, jeden z osadników wózkiem, lub wierzchem na onaggasie udawał się opatrzyć stado dzikich baranów i kóz i powracał z zapasem mleka, które szło do spiżarni Naba. Wycieczki te dawały zarazem i sposobność do polowania. To też Harbert i Gedeon Spilett, z Topem na przedzie, przebiegali częściej od reszty towarzyszy drogę do zagrody, i przy wybornej broni, jaką posiadali, nigdy nie brakło w domu kabyjasów, agutów, kangurów, dzików, prosiąt dzikich z rzędu grubej zwierzyny,—a kaczek, tetrasów, bażantów, jakamarów, i cyranek w drobniejszej zdobyczy. Królikarnia, ostrygarnia, kilka schwytanych żółwiów, szczęśliwy nowy połów owych wybornych łososiów, które zapędziły się znowu na wody Dziękczynnej, jarzyny z Wielkiej Terasy,—wszystko to były skarby tłoczące się na skarby, tak że Nab, kuchmistrz jeneralny, zaledwie miejsce na pomieszczenie ich znajdował.

Rzecz jasna, że i drut telegraficzny łączący zagrodę z Pałacem Granitowym naprawiono, i że funkcjonował na nowo, skoro który z osadników znajdując się w zagrodzie, uważał za niezbędne noc tam przepędzić. Zresztą, wyspa była obecnie bezpieczną, nie zachodziła obawa żadnej napaści—przynajmniej ze strony ludzi.

A jednakże to co się stało, mogło się jeszcze powtórzyć. Wylądowania korsarzy, lub zbiegów więziennych zawsze się można było spodziewać. Towarzysze, wspólnicy Boba Harveya, wtajemniczeni w jego plany, mogli wpaść na myśl naśladowania go. Nie przestawali tedy osadnicy zwracać ścisłej baczności na punkta sposobne do wylądowania na wyspę, i codzień przesuwali lunetę po tym obszernym widnokręgu, który zatoka Unji i zatoka Washingtona zamykały.

Po drodze do zagrody badali także osadnicy z równą uwagą stronę południowo wschodnią morza, a w miarę wstępowania na ścianę góry Franklina, mogli przebiedz wzrokiem obszerny odcinek zachodniego widnokręgu.

Nic podejrzanego nie pojawiało się nigdzie—a jednak należało mieć się wciąż na baczności.

To też pewnego wieczora inżynier przedstawił przyjacielom pomyślany przez siebie plan obwarowania zagrody. Zdawało mu się roztropnem, podnieść ostrokołowe, jej ogrodzenie, i opatrzyć ją rodzajem blokhauzu, gdzie w danym razie osadnicy mogliby się bronić przeciw nieprzyjacielskiej sile. Ponieważ Pałac Granitowy okazywał się odrazu niezdobytym, ze względu na samą swoją pozycję, zagroda tedy ze swemi budynkami, zapasami i bydłem byłaby zawsze niewątpliwie celem usiłowań korsarzy, ktokolwiek by oni byli, po wylądowaniu na wyspę; — na przypadek więc, gdyby osadnicy zmuszeni byli w niej się zamknąć, należało ją przygotować do korzystnej obrony.

Projekt ten jednak wymagał gruntownego obmyślenia i zresztą wykonanie jego z musu trzeba było odłożyć do przyszłej wiosny.

Około 15 maja, sztuka drzewa spodnia, idąca wzdłuż całego okrętu, wyciągała się na podłodze warstatu a wkrótce przednia i spodnia z tyłu, z silną obsadą na obu krańcach, wzniosły się prawie pionowo. Owa belka spodnia, podłużna, wyrobiona z silnego dębu, miała sto dziesięć stóp długości, co pozwalało nadać budowie szerokość dwudziestopięcio-stopową. Tyle jednak tylko zdołali zrobić nasi cieśle przed nastaniem zimna i niepogody. Przez następny tydzień pracowali jeszcze nad tyłem okrętu; a potem trzeba już było zawiesić roboty.

Otatnie dni maja odznaczyły się szkaradną niepogodą. Wiatr zaciągał ze wschodu, chwilami z gwałtownością huraganu. Inżyniera napadał pewien niepokój o szopy warstatu okrętowego, których zresztą nie podobna było umieścić w jakiemkolwiek innem miejscu, w pobliżu Pałacu Granitowego — ponieważ wysepka niezupełnie tylko zasłaniała wybrzeże od nacisku morskich bałwanów i podczas wielkich burz, fale uderzały o same stopy muru Granitowego.

Na wielkie szczęście jednak nie ziściły się te obawy. Wiatr nacierał bardziej na część południowo-wschodnią, a w tych warunkach wybrzeże Pałacu Granitowego miało zupełne pokrycie w przylądku Rozbitków.

Pencroff i Ayrton, dwaj najgorliwsi budownicy nowego okrętu, przeciągali prace swoje jak tylko mogli najdłużej. Nie byli to bynajmniej ludzie zwracający uwagę na wicher targający im czuprynę, lub deszcz przenikający do kości — a uderzenie młotka ma tyle wartości w czas zły co i w pogodny. Ale skoro chłód bardzo ostry nastąpił po wilgotnej epoce, drzewo, którego włókna nabrały twardości żelaza, poczęło przedstawiać niezmierną trudność w obróbce — i z tego powodu, około 10 czerwca trzeba było ostatecznie dać pokój budowie okrętu.

Cyrus Smith i jego towarzysze nieraz już zwracali na to uwagę, jak dokuczliwą była temperatura zimowa na wyspie Lincolna. Zimna tu można było porównać do dających się uczuć w Stanach Zjednoczonych Nowej Anglji, położonych mniej więcej w tej samej odległości co wyspa Lincolna od równika. Jeżeli na półkuli północnej, a już co najmniej w części zajętej przez Nową-Brytanję i północ Stanów Zjednoczonych, zjawisko powyższe tłumaczy się płaskim układem terytorjów, które graniczą z biegunem i na których żadna nierówność gruntu nie stawi przeszkody wichrom podbiegunowym, to tu na wyspie Lincolna tłumaczenie takie nie miało wartości.

— Zauważono nawet — rzekł pewnego dnia Cyrus Smith do towarzyszy — że przy równych szerokościach, wyspy i części przybrzeżne mniej cierpią od zimna niż okolice śródmorskie. Często mi się słyszeć zdarzyło, że zimy w Lombardji naprzykład, są ostrzejsze niż w Szkocji — a pochodziłoby to ztąd, że morze powraca w zimie ciepło otrzymane przez lato. Wyspy więc znajdują się w najlepszych warunkach do korzystania z tej restytucji.

— Ale w takim razie, panie Cyrusie, — spytał Harbert, — dlaczegoż wyspa Lincolna zdaje się usuwać z pod tego ogólnego prawa?

— Trudno to wytłumaczyć, — odparł inżynier. Bądź co bądź jednak byłbym skłonnym do przypuszczenia, że przyczyną tej szczególności jest położenie naszej wyspy na półkuli południowej, która, jak ci to wiadomo, moje dziecię, o wiele jest chłodniejszą od północnej.

— W istocie — odrzekł Harbert — pływające lody napotkać można pod szerokością niższą częściej na południu, niż na północy Cichego Oceanu.

— Najprawdziwsza prawda — wtrącił Pencroff — ja sam gdym się bawił wielorybnictwem, widziałem góry lodowe aż po za przylądkiem Horn.

— Dałyby się tedy wytłumaczyć — rzekł Gedeon Spilett — te dokuczliwe zimna na wyspie Lincolna, bliskością kier lub ławic lodowych w niewielkiej względnie odległości.

— Zdanie twoje istotnie ma wiele po sobie, mój drogi Spilecie — odparł Cyrus Smith — i widocznie to bliskości lodów winniśmy nasze ostre zimy. Zwrócę także uwagę waszą i na to, że inna jeszcze przyczyna całkiem fizyczna, czyni półkulę południową zimniejszą od północnej. Oto ponieważ słońce jest o wiele bliżej od niej w czasie lata, w zimie za to z konieczności musi być o wiele dalej. To wyjaśnia ową podwójną tutaj krańcowość temperatury: jeżeli bowiem znajdujemy zimy na wyspie Lincolna niezmiernie ostremi, niezapominajmy, że lata są tu przeciwnie bardzo skwarne.

— Dla czegoż jednak, — spytał Pencroff, marszcząc brwi, — powiedz mi pan z łaski swojej, panie Smith,—dlaczegoż jednak nasza półkula, jak mówisz, tak złą dostała cząstkę?... To wcale nie pięknie, to niesprawiedliwie!

— Mój przyjacielu — odrzekł inżynier, śmiejąc się, — czy jest w tem sprawiedliwość czy nie, trzeba jednak pogodzić się z tym stanem rzeczy — a oto przyczyna tej wyjątkowości. Ziemia nie opisuje koła w około słońca, ale elipsę, wedle praw mechaniki racjonalnej. Ziemia zajmuje jedno z ognisk tej elipsy, w pewnej tedy porze swego obiegu znajduje się w swojem apogeum tj. w największem swojem oddaleniu od słońca, a w innej znowu epoce w swojem perigeum, tj. najbliżej słońca. Otóż tak to wypada, że właśnie w zimie okolic pułkóli południowej, ziemia stoi w punkcie najdalszym od słońca, a więc w warunkach sprowadzających najsilniejsze zimna na te okolice. Na to nie ma rady — i ludzie, mój Pencroffie, choćby najmędrsi, nie zdołają nigdy nic odmienić z porządku kosmograficznego, ustanowionego przez samego Boga.

— A jednakże — dodał Pencroff, objawiając pewną trudność w poddaniu się — a jednakże świat taki uczony!... Coby to za grubą księgę złożył, panie Cyrusie, z tego co ludzie wiedzą.

— A o ileż grubszą jeszcze z tego, o czem nie wiedzą — odparł Cyrus Smith.

Koniec końców, z tej czy z owej przyczyny, miesiąc czerwiec sprowadził zimno w zwyczajnej jego ostrości, i osadnicy musieli najczęściej przebywać w zamknięciu w Pałacu Granitowym.

Ach!... przymusowe to zamknięcie wydawało się dokuczliwem dla wszystkich, a może najbardziej dla Gedeona Spiletta.

— Słuchaj — rzekł — pewnego dnia do Naba — ustąpiłbym ci chętnie aktem notarjalnym praw do wszelkich spadków, jakie mi kiedykolwiek przypaść mają, gdybyś zechciał być tak poczciwym chłopcem i poszedł gdziebądź zaprenumerować dla mnie jakikolwiek dziennik!... Stanowczo, jednej tylko, najgłówniejszej rzeczy braknie mi do szczęścia, a mianowicie wiedzieć co rana, co się stało wczoraj gdzieindziej!

Nab śmiać się zaczął...

— Dalipan — odrzekł — co do mnie, obchodzi mnie najwięcej robota codzienna!...

A co prawda, tak wewnątrz, jak i na zewnątrz nie brakowało roboty.

Osada wyspy Lincolna znajdowała się wówczas na najwyższym szczycie pomyślności, do którego ją trzy lata wytrwałej pracy doprowadziły. Przygoda z brygiem zniszczonym była dla niej nowem źródłem bogactwa. Nie mówiąc już bowiem o kompletnem ożaglowaniu, mogącem się przydać do budującego się okrętu, sprzęty i narzędzia wszelkiego rodzaju, broń i amunicja, odzież i instrumenta tłoczyły się obecnie przez wierzch magazynów Granitowego Pałacu. Nie było nawet konieczności uciekać się do wyrobu grubych materyj pilśniowych. Wprawdzie osadnicy ucierpieli wiele od zimna w czasie pierwszej swojej zimówki, ale za to dzisiaj przykra ta pora nadejść mogła, nie wzbudzając w nich najmniejszej obawy. Bieliznę mieli także w obfitości, utrzymując ją zresztą z jak największą starannością. Z owego chlorku sody, który jest nie czem innem jeno solą morską, Cyrus Smith wydobył z łatwością sodę i chlor. Soda, którą można było bez trudu zmienić w węglan sody — i chlor, z którego inżynier utworzył przez połączenie chlorek wapna i innej — zdały się do wielu rzeczy w domu, a szczególniej do prania bielizny. Zresztą urządzano tylko cztery prania na rok, jak to było niegdyś zwyczajem u starych rodzin, i niech nam wolno będzie dodać, że Pencroff i Gedeon Spilett — w oczekiwaniu na roznosiciela z dziennikiem — okazali się niepospolitemi praczkami.

Tak przeszły miesiące zimowe: czerwiec, lipiec i sierpień. Były one bardzo przykre, średnia bowiem cyfra spostrzeżeń termometrycznych wynosiła nie więcej jak osiem stopni Fahrenheita (13°, 33 centigr. poniżej zera). Temperatura ta niższą więc była niż poprzedniej zimy. To też, co za tęgi ogień huczał bezustanku w kominach Pałacu Granitowego, zostawiając czarne długie smugi z dymu na granitowych ścianach. Nie oszczędzano paliwa, rosnącego w obfitości w oddaleniu zaledwo kilku kroków. Zresztą, odpadki z drzewa przeznaczonego na budowę okrętu pozwalały zaoszczędzić węgiel drzewny, którego dowóz był o wiele cięższy.

Ludzie i zwierzęta mieli się wybornie. Pan Jow zdradzał w sobie potroszę zmarzlaka, to wyznać należy. Ale była to może jedyna jego wada, i zapobiegło się jej przez zrobienie mu sutego szlafroka, tęgo wywatowanego. Jakiż jednak za to był z niego sługa, zręczny, gorliwy, niestrudzony, dyskretny, nie gaduła. Z wszelką słusznością można go było postawić za wzór wszystkim współbraciom jego w zawodzie, tak starego jak i nowego świata!

— Chociaż — mawiał Pencroff — wstydby było mając cztery ręce do użytku, nie uwijać się jak należy przy robocie!

I w istocie, inteligentny czwororąk pracował nie ladajako!

Przez siedem miesięcy, które upłynęły od ostatnich poszukiwań naokoło góry — i przez cały wrzesień, naznaczony już piękną pogodą, nie było ani mowy o genjuszu wyspy. Wpływ jego nie objawił się przez ten czas w żadnej okoliczności. Prawda i to, że byłby zbytecznym, ponieważ nic takiego nie zaszło, coby osadników na ciężkie mogło narazić próby.

Cyrus Smith zauważył nawet, że jeżeli w ogólności istniała jakaś komunikacja kiedykolwiek na wskróś granitowej bryły pomiędzy nieznajomym a mieszkańcami Pałacu, i że jeżeli jego to zbliżanie się instynkt Topa przeczuwał niejako, to w ciągu tego całego perjodu nic się podobnego nie zdarzyło. Zagadkowe warczenia psa ustały zupełnie, jak również i niepokoje oranga. Dwaj przyjaciele — byli nimi bowiem — nie kręcili się już przy otworze wewnętrznej studni, nie szczekali i nie jęczeli owym osobliwym sposobem, który już od samego początku zwrócił był uwagę inżyniera. Ale mógłże Cyrus Smith zaręczyć, że wszystko się już skończyło z tą zagadką i że nigdy nie znajdzie jej rozwiązania? Mógłże twierdzić stanowczo, że nie zajdzie jakaś okoliczność i nie wprowadzi znowu na scenę tajemniczej owej osobistości? Kto mógł wiedzieć, co przyszłość w sobie chowa?

Nareszcie skończyła się zima, ale pewne zdarzenie, którego następstwa mogły mieć wielką doniosłość, zaszło dopiero w pierwszych dniach zwiastujących powrót wiosny.

7go września Cyrus Smith, przypatrując się uważnie szczytowi góry Franklina, spostrzegł w około jego krateru wijący się dym, którego pierwsze kłęby rozpraszały się właśnie w powietrzu. (C. d. n.)

Filozoficzny kamień

recepta

z

T. DE BANVILLE.

Weźcie uncję wyobraźni,
Dwie wiary, trzy naiwności,
Zmięszajcie je bez bojaźni
Z tylomaż własnej miłości;
Dodajcie zwolna, pomału,
Szczyptę albo dwie zapału.
Tkliwości wsączcie łyżeczkę,
By skoncentrować rzecz całą,
Wsypcie wytrwania niemało,
Nawet uporu troszeczkę.

Przyprawioną tak miksturę
Zlawszy w tygiel, na trójnóżku
Dajcie pod temperaturę
Jaka w młodem wre serduszku,
Niech w niej kipi, niech się burzy,
Niechaj wzbiera jak najdłużej,
Niech dymem jak wulkan kłębi;
Aż przez bryzgi, parowanie,
Nic w tygielku nie zostanie,
Oprócz garści proszku w głębi.

Proszek ten, o moje dzieci!
Szczególną chlubi się cnotą...
We wszystkiem, co tylko świeci
Pozwala dopatrzyć złoto;
Śmierć gromi, roztwiera groby,
Na wszelkie leczy choroby,
Z sumienia wszelki brud ściera,
Grzesznikom raje odmyka,
I lada awanturnika
Przetwarza na bohatera.

Proszek ten, o moje dziatki!
Brzydką upiększa naturę;
Nędzę przemienia w dostatki,
Łachmany w królów purpurę;
Nie jedna róża przejrzała
Dzięki mu pączkiem się zdała
Nie jednemu motylowi;
Uraczywszy się nim hojnie
Nie jeden mąż dłoń spokojnie
Żony ścisnął kochankowi.

Bez proszku tego, Bóg strzeże,
Świat smutną byłby pustynią —
Bez proszku tego, żołnierze
Nie szli by na śmierć jak czynią—
Bez proszku tego artysta
Co zeń najwięcej korzysta
Złamałby pędzel lub pióro;
Bez proszku tego nareszcie
Jak chcecie, wierzcie, nie wierzcie
Szczęście tu byłob' figurą!

Minione wieki daremnie
Mylną szukały go drogą.
Recepta dana przezemnie,
Nie zwiedzie, ręczę, nikogo.
Mknąc za nim myślą łakomą
Świat zwał go niegdyś, wiadomo,
„Filozoficznym kamieniem."
My zaś poznawszy go zbliska,
Miast tak szumnego nazwiska
Zwiemy go skromniej: „Złudzeniem."

Paryż d. 10 Lutego 1876.

Naśladował *J. S. Chamiec.*

Tak być musiało.

Powieść.

Napisał

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Pracownia hrabiego Olpińskiego ciekawy przedstawiała widok. Był to pokój przestronny, wysoki, sklepiony, którego dwa gotyckie okna silnemi opatrzone kratami wychodziły na boczną stronę pałacu. Gdyby nie to, budynek, postawiony w stylu włoskim, z tą przyczepką gotycką byłby od frontu pociesznie wyglądał. Hrabia zapatrując się na wszystko po swojemu, był zdania, że gotyk przyczynia się najwięcej do skupienia ducha, dla tego kazał przerobić okna w swojej pracowni; ale że mimo całej oryginalności p. Olpiński nie był pozbawionym dobrego smaku, więc na pracownię wybrał pokój boczny, którego od frontu nikt nie widział.

Prócz hrabiego i Michałka, rzadko kto zaglądał do tego przybytku nauki i dziwactw. Olpiński spędzał tu sam długie godziny i tylko w ważnych wypadkach pozwalał wchodzić obcym. Do tych nie należały osoby z lepszej sfery społecznej, bo jakkolwiek na pozór hrabia nie trzymał się form towarzyskich, nie przestał być grzecznym i gościnnym. Sąsiadów i dalszych znajomych przyjmował zawsze w salonie — a w pracowni chyba jakiego wieśniaka lub oficjalistę, dla których etykieta byłaby zbyteczną.

Umeblowanie gabinetu składało się z dębowego sekretarza, który stał w rogu pod oknem, tak by światło piszącemu od lewej strony padało, trzech, czy czterech krzeseł poręczowych, niegdyś karmazynową skórą obitych, i sofki niewiadome-

go koloru. Resztę miejsca wypełniały olbrzymie czworoboczne szafy, zasypane książkami i papierami, jak w jakiej antykwarni. W dodatku po kątach, na sofie, dokoła sekretarzyka i pod nim leżały także stosy książek i dzienników. Między książkami widziałeś najrozmaitsze, od najmniejszych i wytwornie oprawnych, do najgrubszych w okładkach z oślej skóry; od najpoważniejszych do banalnych, od greckich i łacińskich do rumuńskich i bólgarskich — a między dziennikami można było dostrzedz poważne *Atheneum* angielskie obok mizernego *Pfennig-Magazin*, który niegdyś Niemcy wydawali. Czy hrabia rozumiał wszystkie te języki, trudno by na to odpowiedzieć, w powiecie bowiem nie było znakomitych lingwistów i kochani sąsiedzi najchętniej po polsku mówili— ale z tych świstków powkładanych do rozmaitych książek, z tych kart pozałamywanych, i z tych notatek na marginesach, które wyglądały jak hieroglify egipskie, możnaby wnosić, że hrabia prócz ojczystego i francuskiego umiał jeszcze inne języki.

W pokoju panowała ciężka atmosfera, albowiem pod żadnym warunkiem nie było wolno okien otwierać, aby wiatr nie strącił jakiej ważnej kartki, która raz upadłszy, mogłaby się łatwo pomięszać z innemi papierami i na wieki zginąć. Obawa przed takim wypadkiem była także powodem, że hrabia pozwalał strzepywać prochy tylko raz do roku. Wtedy zamykał się z Michałkiem, i wespół z nim zmiatał kurz na ziemię, aby go potem wymieść do sieni; ale że czyniąc to nie pozwalał drzwi otwierać, bo znowu mógłby się ulotnić jaki ważny dokument, więc kurz wracał odpoczywać na dawne miejsca, z posadzki zaś nawet to nie dostawało się na wolne powietrze, co dawniej na niej leżało, gdyż ciągłe chodzenie i trzepanie, wypędzało i z tamtąd nowe tumany w wyższe regjony pracowni.

Zawsze po dokonaniu tej pracy, hrabia był weselszym, i tego dnia zapraszał kogoś na pogadankę do pracowni: dawniej rządcę, teraz panią Herminę.

Powszechnie wiedziano, że hrabia pisze „Kronikę świata,“ ale nikt sobie nie wystawiał, choćby tylko w przybliżeniu, co to była za kroniką. Ponieważ przypadek pozwolił nam raz zajrzeć do foljałów autora, przeto w tej ważnej sprawie możemy dać niejakie wyjaśnienia.

Przed dwudziestu jeszcze laty hrabia głośno powtarzał, że każdy człowiek powinien dla społeczeństwa coś uczynić, a że już wtedy miał zamiar zostać starym kawalerem, więc pewnego dnia chodząc po pustych pokojach, stanął na środku salonu, palec do czoła przyłożył i rzekł do siebie:

— Gdybym się był ożenił i miał dzieci, byłbym przynajmniej to zwrócił, co sam otrzymałem na świat przychodząc; ale gdy się inaczej stało, więc będę się uczył, i napiszę takie dzieło, z którego ludzkość prawdziwy odniesie pożytek.

Jak powiedział, tak uczynił. Kilka lat czytał i uczył się pilnie, i powoli utwierdził się w przekonaniu, że dla ludzkości najpożyteczniejszem dziełem, byłaby taka „kronika świata,“ w której by się znajdowały spisane w porządku chronologicznym dzień po dniu, wszystkie zdarzenia; że zaś hrabia nie chciał być suchym opowiadaczem faktów, przeto powiedział sobie równocześnie, że kronikę należy pisać z pewną myślą przewodnią, a gdy już przedtem był tak wielkim zwolennikiem Montesquiusza, że jego *Esprit des lois* umiał prawie na pamięć, więc myśliciel francuski miał służyć za komentatora całego dzieła: słowem, hrabia postanowił udowodnić, że Montesquieu miał zawsze rację.

Z namaszczeniem prawdziwie kapłańskiem przystąpił do pracy; zaledwie jednak kazał sobie porobić spore kajety i na każdym z osobna umieścił nazwę jednego z ludów najstarożytniejszych, przekonał się ku wielkiemu swemu umartwieniu, że z narodami głębokiego Wschodu sprawa nie pójdzie łatwo. Nie tylko nie mógł spisać historji Indjan, Persów, Egipcjan i tylu, tylu innych dzień po dniu, lecz brak mu było całych lat, nawet stuleć całych. Zgryziony niesłychanie, odłożył Wschód, pocieszając cię nadzieją rychłego doń powrotu, gdy specjalni badacze rozjaśnią jego historję, a tymczasem zajął się Grecją, jako więcej już znaną. Wprawdzie i tu spotkały go te same trudności co przy Wschodzie, lecz postanowiwszy tym razem nie ustąpić, szedł wytrwale naprzód, i po ośmioletniej pracy, zapisawszy sześć tysięcy arkuszy papieru, doszedł nareszcie do Platona, o czem we Wolicy dowiedzieliśmy się z jego ust własnych, a nie wątpił, że za życia skończy całe dzieło, odda je do druku i korektę sam przeczyta.

Oto widzimy go przy sekretarzu w todze poważnej, ze złotemi okularami na nosie i w okrągłej aksamitnej czapeczce. Na dworze ciepło — pogodnie — wesoło. Hrabia jest atoli nieczułym na takie przyjemności, obojętnym na takie drobnostki. Przejęty ważnością swojej pracy, pisze aż pióro trzeszczy, radząc się od czasu do czasu leżących na boku notatek, lub rozrzuconych książek i papierów, a resztę snując z własnej wyobraźni. Dwa opylone portrety familijne wiszące pod sklepieniem, z których jeden przedstawia karmazyna z wąsem zawiesistym, drugi poważną matronę w sukniach klasztornych, patrzą z politowaniem na ostatniego przedstawiciela rodu Olpińskich. Już długo pisał głowy od papieru nie podnosząc, gdy do pokoju wszedł Michałek na palcach, i stanął w tyle za krzesłem. Chwilę się wahał, a potem nachylając się przez zapomnienie do lewego ucha swego pana, na które hrabia źle słyszał, rzekł dość cicho:

— Proszę jaśnie pana!

Piszący machnął piórem koło głowy w mniemaniu, że nadleciała mucha natrętna.

— Proszę jaśnie pana!—powtórzył Michałek głośniej.

— He? — zapytał hrabia, wykrzywiając twarz w kierunku mówiącego, ale głowy nie podnosząc.

— Przyszedł Marcin Zając, ten co go nazywają Mazurem, i prosi czyby nie mógł widzieć pana hrabiego.

— He? — odparł znowu autor „Kroniki świata“ i pisał dalej z zapałem prawdziwie młodzieńczym.

Michałek powtórzył zapytanie.

— Niech poczeka! — zakonkludował hrabia.

Michałek poskrobał się w głowę.

— On już czeka od południa, a do wsi musi wrócić dziś jeszcze, bo u niego stało się nieszczęście.

— Nieszczęście? — powtórzył hrabia zwracając się do mówiącego. — Czemu ty mi trutniu przeszkadzasz? Ile to razy powtarzałem ci, żebyś mi nie przeszkadzał kiedy ja piszę!... A wiesz ty co ja piszę, he? Nieszczęście... jakie znowu nieszczęście?

— Ja nie wiem proszę jaśnie pana. Mazur sam powie.

— Nie mam czasu, nie mam czasu.

— Biedny człowiek zgryzie się... on już i bez tego płakał.

— Nieszczęście?... płakał?... to idźże trutniu i zaraz mi go tu przywołaj! Tylko niech sobie buty wyczyści, żeby mi prochu nie naniósł.

Uradowany Michałek wybiegł i po chwili wrócił z wieśniakiem, siwym jak gołąb', który zbliżywszy się do hrabiego, pochylił się aby go w kolano pocałować.

— Dajże mi pokój, Marcinie! A to co znowu? Tam, w kościele całuj Boga po nogach, nie mnie. Co chcesz, mów prędzej, bo nie mam czasu.

— Ta proszę jaśnie pana hrabiego ja się wczoraj popalił.

— To źle, bardzo źle... A co się spaliło?

— Ta wszystko, proszę jaśnie pana hrabiego. I chata i stodoła i chudoba.

— To bardzo źle... A byłeś ubezpieczony?

— Ta nie proszę jaśnie pana hrabiego — odrzekł kłaniając się pokornie. — Asekuracja dużo kosztuje, a człowiek taki biedny, co może zaledwie zebrać na podatek, ta na topkę soli.

— To źle, bardzo źle... Bo widzisz Montesquieu powiedział...

Hrabia urwał, zmarszczył brwi i głowę podniósł do góry. Widocznie myślał, czy Montesquieu pisał co o asekuracji; nie znalazłszy w nim atoli stosownego cytatu, co mu od kilku lat dopiero pierwszy raz się zdarzyło, zwrócił się do wieśniaka z oznakami wewnętrznego niezadowolenia.

— To źle Marcinie, ale ja temu nie winien.

Wieśniak milczał.

— A jakim to sposobem przyszło do pożaru? — zapytał znowu pan Olpiński.

— Ta Bóg to wie, proszę jaśnie pana hrabiego! — odrzekł Marcin z nowym ukłonem. — Wieczorem położyliśmy się spać, i ja i córka i zięć i wnuki, i spaliśmy sobie dobre dwie godziny, aż tu naraz w sieni zaczynają kury gdakać, i bryś wyje na dworze, jakby broń Boże na złodzieja. Zbudziłem się, patrzę przez okno, a tu jasno... wychodzę z chaty, a tu stodoła gore! Ledwieśmy z duszą uciekli.

— A nie wynosił kto z chaty śmiecia po zachodzie słońca?

Zapytany podumał chwilę, potem odpowiedział:

— Ta wynosiła moja córka.

— A ty nie wiesz Marcinie, że to grzech z chaty śmiecie wynosić po zachodzie słońca?

— Ta coś tak gadają.

— Gadają? A ty czemu nie słuchał kiedy gadają, he? — zawołał hrabia porywczo. — Widzisz, tyś ciemny chłop, więc powinieneś wierzyć, kiedy nic nie rozumiesz. Gdyby ci był kto powiedział, że dla tego nie należy wynosić śmiecia wieczorem, że w śmieciu może być jaki węgiel, z którego gotów potem pożar wybuchnąć, to mógłbyś nie usłuchać, boś ciemny chłop... ale kiedy słyszałeś że to grzech, toś powinien był wierzyć, bo takiego ciemnego chłopa tylko wiara trzyma.. Ale ty jak widzę nic sobie z wiary nie robisz, ty nie katolik, nie asekurujesz chaty i pozwalasz wynosić śmiecie po zachodzie słońca... idź-że teraz z Bogiem i daj mi święty pokój!

Skruszony wieśniak w głos się rozpłakał.

— Tylko nie płacz! Ja tego znieść nie mogę... No mów, mów prędzej, czego chcesz?

— Ta proszę jaśnie pana hrabiego my zostali bez chaty, bez chudoby, zarobku już nie ma, bo żniwa pokończone, dzieci nie mają łyżki mleka.

— Dzieci? A czemu nie pilnowałeś chaty i śmiecia? No mów, mów, czego chcesz!

— Ta żeby jaśnie pan hrabia kazał wydać drzewa, ta byśmy się pobudowali, a na wiosnę ta byśmy odrobili.

Hrabia szybko napisał kilkanaście słów na kartce, którą wręczył wieśniakowi ze słowami:

— Idź z tem do pana rządcy... On ci wyda drzewo. Tylko pamiętaj odrobić na wiosnę.

Marcin chciał znów upaść do nóg hrabiemu, lecz ten zatrzymał go, sam się cofając. Gdy wieśniak był już przy drzwiach, pan Olpiński jakby sobie coś przypomniał, głośno zawołał:

— Wróć się Marcinie! Mówiłeś że ci się chudoba spaliła, że dzieci nie mają łyżki mleka, a przecie z drzewa mleka nie utoczysz... Widzisz jaki ty ciemny chłop! Ja ci nie dam krowy z mojej stajni, bo koło takiej krowy nie umiałbyś chodzić, ale weź to jako pożyczkę i pamiętaj odrobić.

Z temi słowy sięgnął do kieszeni, wyjął zwitek banknotów, i nie licząc, wręczył biedakowi.

— Idź teraz z Bogiem, tam pewnie na ciebie czekają, tylko nikomu nic nie mów, bo jakby się tu zlecieli, toby mnie obdarli do koszuli. A pamiętaj o asekuracji i nie pozwalaj wynosić śmiecia po zachodzie słońca, bo to grzech!

Zaledwie Marcin wyszedł błogosławiąc w duszy swemu dobroczyńcy, cicho jak kot wsunął się do pokoju jakiś żydek i pokornie przy drzwiach się zatrzymał. Hrabia długo go nie widział, ani się nawet domyślał, tak był zajęty pisaniem swego dzieła: dopiero gdy zmęczony powstał, aby przejść się po świeżem powietrzu, potrącił prawie o gościa natrętnego.

— Icek! A ty tu co robisz? Kto ciebie wpuścił, he?

Zapytany zdjął jarmułkę, po trzykroć skłonił się do ziemi i rzekł bojaźliwie:

— Ja proszę jaśnie pana hrabiego sam przyszedł, bo ja mam wielką zgryzotę.

— A mnie co obchodzi twoja zgryzota, he?

— Ja mam dziś płacić ratę.

— To idź z nią do pana rządcy. Wszak wiesz, że waszych brudnych pieniędzy nigdy sam nie odbieram.

— Wiem, jaśnie panie hrabio, i dla tego ja tu przyszedł, że jaśnie pan hrabia nie odbierze.

— Icek! Czyś oszalał? Czy ty myślisz że ja tobie propinację darował, he? Montesquieu powiedział w księdze XXI, rozdział XXII, że Hiszpanja dla tego zbankrutowała, ponieważ nie pracując przyszła do wielkich pieniędzy po odkryciu Ameryki. A ja nie chcę żebyś ty zbankrutował, nie! Dla tego pracuj i płać.

— Ale ja nie mam z czego płacić... teraz taka bieda, chłopy nie piją, a te co piją, to na kredyt... to takie gałgany! Ale ja bym był i bez tego zapłacił, tylko że mnie spotkało wielkie nieszczęście... Tego lata umarła mi żona i dziecko, to ja się tak zagryzł, że ja nie mógł pilnować karczmy i każdy mnie kradł.

— Cóż im było?

— Pan Bóg to wie! Żona zjadła wieczór kawałek chleba z masłem, które było w miedzianej ryneczce, dała dziecku i oboje pomarli.

Hrabia głęboko się zamyślił; potem zapytał:

— A rabin nie ogłaszał wam wtedy, że ponieważ będzie „czerwona nitka,“ więc powinniście wyrzucić wszystkie tłuszcze z domu?

— Ogłaszał proszę jaśnie pana hrabiego.

— A czemu nie usłuchałeś rozkazu?

— Bo ja zapomniał.

— Tak, to ty nie słuchasz rabina... a jaki to żyd z ciebie? A wiesz ty dla czego on podczas upałów ogłasza, że będzie „nitka czerwona?“ Jakby on powiedział, że w gorące dni tłustość łatwo się psuje, zwłaszcza taka, którą trzymacie w miedzianych naczyniach, i że ten, kto ją zje, może potem zachorować, nawet umrzeć, jak twoja żona i dziecko, to może niejeden z was śmiałby się z tego — ale jak on ogłosi że będzie „nitka czerwona,“ to ciemny a zabobonny żyd nie rozumiejąc co znaczy ta symbolika, boi się i słucha. Ale ty Icku nie jesteś nawet dobrym żydem, bo nie słuchasz swego rabina. Idź więc do licha i daj mi pokój! Jak do jutra raty nie zapłacisz, każę cię wyrzucić z karczmy.

Z temi słowy hrabia wyszedł popychając żyda przed sobą; zamknął drzwi od pracowni, schował klucz do kieszeni i udał się do ogrodu.

Icek jednakże nie dał za wygrane. Trzymając od dwudziestu lat propinację w jednej z licznych wsi hrabiego, znał swego pana na wskróś, bo kogoż sprytny żyd nie pozna gdy zechce. Z futrzaną czapką w ręce stał koło bramy ogrodowej całą godzinę, laską psom się opędzając, a gdy pan Olpiński wracał, drugi raz zbliżył się do niego i znowu zaczął prosić. Hrabia z początku mężnie się opierał, ale w miarę jak się wzmagała natarczywość propinatora, słabł opór dziedzica Warnowiec, i nareszcie na tem się skończyło, że Icek nie tylko został zwolnionym z raty, lecz w dodatku dostał jeszcze kilka reńskich dla dzieci na gugle.

— Idź-że teraz do licha—zakończył hrabia,— i słuchaj rabina, bo żyd, który rabina nie słucha, wart djabła. A nie zapominaj także o przyszłej racie, bo Filip II dla tego zbankrutował, że Karol V dostawał pieniądze za darmo, i nikomu nic nie mów, bo jakby się tu zlecieli, to by mię do koszuli obdarli.

Icek skłonił się do kolan, przysięgając na wszystkie swoje świętości, że nic nie powie, wyszedł za bramę gdzie stał wózek jednokonny, siadł, cmoknął kilka razy i kłusem popędził do domu.

Prawdę powiedział pan Damazy: hrabia Olpiński to skończony egoista!

(C. d. n.)

Długosz o Elżbiecie trzeciej żonie Jagiełły.

Napisał

ANTONI PROCHASKA.

(Ciąg dalszy).

Idźmy teraz za dalszym tokiem opowiadania Długosza o Elżbiecie z Pileckich, badając jak poprzednio, czy współczesne zapiski, w dalszej części potwierdzą prawdomowność naszego historyka. Po śmierci owego Jenczyka Hiczyńskiego, z którym Elżbieta krótko żyła, wziął naszą Elżbietę (jak mówi Długosz) jeden z najmożniejszych panów herbu Leliwa w dom swój, gdyż rościł sobie prawo opieki nad owdowiałą a bogatą Toporczanką[1]). Panem tym był Spytek z Melsztyna, wojewoda krakowski. Nieproszony opiekun rozporządził wkrótce losem Jenczykowej żony i wydał ją (jak się Szajnocha domyśla przemocą) za Wincentego Granowskiego, kasztelana nakielskiego, swego współherbownika. Gniewali się o to na Spytka Toporczykowie, z powodu, że Granowski był ubogim człowiekiem, uważali więc to małżeństwo za pewnego rodzaju mezaljans. Gniew ten jednak nie zdołał zmienić dokonanego faktu i Granowski posiadł rękę Elżbiety, a z nią bogate wiano.

Że trzecie to z porządku zamęzcie Elżbiety, jest faktem prawdziwym, nie ulega najmniejszej wątpliwości. W tym punkcie nie oponuje nawet Długoszowi szanowny profesor wrocławski. Inne atoli względy, doprowadziły dra Cara i idących za nim, do zadania kłamu i w tym ustępie naszemu Długoszowi. Długosz powiada, że Elżbieta miała wiele dzieci, wskutek czego była wyniszczoną i to miało być powodem późniejszej jej słabości i śmierci na suchoty. To wszystko zdaniem Cara i jego chwalców jest nieprawdą. W dalszej konsekwencji miał Długosz popełnić największe fałszerstwo jakiego się tylko historyk względem niewiasty dopuścić może, to jest, miał jej lat przyczynić, nazwawszy ją „niewiastą podeszłego już wieku.“ Według Cara et consortes musiała ona być ładną, a przedewszystkiem młodą wdową, kiedy uzyskała miłość króla. Długosz więc haniebnie w tym względzie skłamał!

Aby odpowiedzieć na pytanie, czy Długosz, czy też strona kłam mu zadająca, ma słuszność, musimy się zastanowić nad losami i pożyciem naszej Elżbiety z Granowskim, trzecim jak my się przekonali, swoim małżonkiem. Oczywiście, że sam Długosz jako źródło, żadną miarą wystarczyć nam tu nie może, to też wiele dat, zaczerpniemy ze znakomitego dzieła Helcla: Starodawne prawa polskiego pomniki; tom II.

O dacie, kiedy Elżbieta wyszła za Granowskiego, nie umiemy powiedzieć nic pewnego. W każdym razie musiało się to stać przed rokiem 1400, gdy już w dniu 5go lutego tegoż roku, widzimy Granowskiego jak i jego żonę w procesie z matką Jadwigą z Pilczy[1]). Oboje byli oskarżeni o nieprzyszły do skutku podział dóbr, Elżbieta zaś sama o długi żydowskie, o tem jednak zapisano w aktach tylko kontumacją.

Granowski, mąż bogatej Elżbiety z Pileckich nie przedstawia się nam, jakby można sądzić jako dobry gospodarz. Chociaż mu bowiem król w roku 1393 znaczną na owe czasy kwotę stu grzywien na wsi Krzywa góra zapisał[2]) widzimy go w dniu 14 listopada 1398 r. przyrzekającego przed sądem, że dotrzyma spłaty długu, który był zaciągnął u znanego podówczas lichwiarza żyda Hosmana w kwocie 34 grzywien groszy pragskich. Dług ten wraz z ogromnym procentem jednego grosza na tydzień od grzywny, wzrósł do rozmiarów, wielokrotnie przewyższających zaciągniętą kwotę pożyczkową.[3]) To też już 6 lutego roku 1400, sprzedał on swej teściowej Jadwidze Pileckiej majątek swój Granów i Kamieniec leżący w obwodzie Kościeńskiem; za 400 grzywien[4]). Równocześnie atoli oskarża go taż Jadwiga, (matka jego żony), o nieprawy wymłot zboża we wsi jej Zalesiu dokonany, o napastowanie jej jako właścicielki tej

---

[1]) Długosz XI. 381, a według niego Szajnocha: Jadwiga i Jagiełło. II. 137.

[1]) Helcel: II. zapiska: nr. 575. Elizabeth uxor Vincencii et ipse Vincencius contumax contra Hedvigim relictam Ottonis de Pilcia, etc....

[2]) Rykaczewski. Inventarium archivi Cracoviensis. p. 278. z datą: Inowlodz feria V. post octavam Epifaniae (to jest 17 stycznia) 1393 r.

[3]) Helcel. II, zapiska Nr. 341.

[4]) ibidem. zapiska Nr. 379.

wsi, za co na karę piętnadzieścia skazany został. [1]) Rozrzutny Granowski 1401 r. sprzedał znowu Jadwidze Pileckiej wieś swą Dobrę, (na wschód mila od Pilczy), a gdy gospodarna ta matrona i połowę obok Doby leżącej wsi, Sławniowa, zakupiła, zaprzeczał jej zięć posiadania tych majątków, napadał je, grabił a nawet zajmował. Oskarżyła go o to 5 lutego 1401 r. w sądzie grodzkim krakowskim, lecz i tu zapisano kontumacją tylko. Granowski nie był bowiem wówczas w Królestwie polskiem obecnym [2]). Nie wiemy jak się sprawa ta zakończyła, że atoli już 1402 r. Jadwiga nie miała z Granowskim procesów, poświadczają jej obfite zapisy na rzecz dzieci Granowskiego, o czem w dalszym ciągu szczegółowiej pomówimy.

W 1404 r. król Jagiełło począł z Granowskim spór o majątek Tyczyn i Zalesie, (obok Rzeszowa leżący), który dotychczas snać w nieprawem jego był posiadaniu. Spór rozstrzygnęła szlachta Rusi w ten sposób, iż przysądziła miasto i wieś królowi, pod warunkiem złożenia 50 grzywien, zdaje się na rzecz Granowskiego. [3]) 1406 r. powstaje pomiędzy królem a Granowskim spór o miasto Szrem. I znowu król wygrywa sprawę, gdyż sędziowie przysądzili Szrem królowi i nakazali Granowskiemu wieczne o tym sporze milczenie. [4])

Te atoli spory Granowskiego z królem, nie wpływają snać na gniew króla. I owszem, hojna w szafowaniu łask ręka Jagiełły, nie omija wcale Granowskiego. Był on dotychczas kasztelanem Nakielskim. W tym charakterze widzimy go jeszcze 1408 r. kiedy sprawował poselstwo do wielkiego mistrza krzyżackiego, Ulryka v. Jungingen [5]). Już w rok później otrzymuje on od króla w dzierżawę starostwo wielkiej Polski [6]). Na przeciwko Krzyżakom wiedzie on 1410 r. trzydziestą siódmą chorągiew z herbem „Leliwa,“ (tylko gwiazda na polu błękitnem), a jest kasztelanem Szremskim i starostą Wielkopolskim [7]). Gdy król wśród wielkiej wojny, wynagradzając rycerzy, zamki krzyżackie im rozdarowywał, nie zapomniał i o Granowskim i nadał mu zamek toruński [8]). Nie długo atoli cieszył się starosta Wielkopolski względami króla; zginął on *ut multorum habebat assertio* od zadanej mu trucizny. Co? jak? przez kogo utruty został — niewiadomo; Długosz powiada tylko, iż tak powszechnie się domyślano, tak podanie niesie [9]). Śmierć Granowskiego nastąpiła więc 1410 r. a Elżbieta nasza, została już po raz trzeci wdową.

Chodzi nam teraz o to, czy Długoszowa relacja o wielu dzieciach, które miała Elżbieta z tego małżeństwa, jest prawdziwą i czy w ciągu dalszym dadzą się usprawiedliwić słowa naszego historyka o Elżbiecie: „multiplicitate quoque prolis, ex Vincencio Granowski susceptae, exhaustam [1]),“ któremu to twierdzeniu, jakeśmy zauważyli, oponują pragmatorowie dr. Caro.

Otóż wiemy z zapisków sądowych w Helelu zawartych, że Jadwiga Pilecka wdowa po Ottonie, a matka naszej Elżbiety Granowskiej, zapisuje na dniu 11go maja 1402 r. dobra swe Granów i Kamieniec wnukom swoim Ottonowi i Jadwidze [2]). Na dniu 5. marca 1403 r. zapisuje połowę miasta Kromołowa (obok Pilczy leżącego) i młyn w Czarnej wsi (obok Krakowa) Ottonowi „synowi Wincentego Granowskiego [3]).“ W tym samym dniu darowuje Jadwidze wnuczce swej „a córce Wincentego Granowskiego“ 90 grzywien na wsi Dobra, również koło Pilczy leżącej [4]). 10go maja 1404 roku zapisuje stara Pilecka znowu wielki majątek Jadwidze „córce Granowskiego“ jako posag, pod warunkiem, aby poszła za mąż za Jana syna Marciszy Rupelnego [5]). Jak więc z zapisów tych Jadwigi Pileckiej widzimy, miała jej córka Elżbieta Granowska, w latach 1402 i 1404, syna Ottona i córkę Jadwigę. Z Długosza [6]) zaś jak i z zapisków w Helclu zawartych [7]) wiemy, że nasza Elżbieta miała syna imieniem Jana i córkę imieniem Elżbietę, która, jak to Grünhagen i Zeissberg dowiedli, wyszła za Bolka księcia Opolskiego [8]). Tak więc Elżbieta miała czworo już dzieci—a snać druga para była albo z pierwszego jej małżeństwa, albo też urodziła się po 1404 r. kiedy zapobiegliwa i troszcząca się o swych wnuków Jadwiga Pilecka, żadnych na rzecz Jana i Elżbiety zapisów nie czyni. Innych synów i córki Elżbiety, nie umieliśmy tak wynaleść byśmy je mogli nazwać po imieniu. Wiemy z aktów grodzkich o jakimś Stanisławie Pileckim, który prawdopodobnie jest bratem Jana Pileckiego, vel Granowskiego [9]). Że atoli nasza Elżbieta jeszcze jedną córkę miała, świadczy ten szczegół, że w „Rachunkach dworskich za jej czasów,“ wydanych przez Zeissberga, spotykamy się z wyrazem [10]): pro filiabus domine Regine, i to w czasie, gdy córka jej Elżbieta, była żoną Bolka Opolskiego — a nie była obecną na dworze krakowskim. Dalej spotykamy się w tychże „Rachunkach“ ze słowami, osobno *„pueri,“* osobno *„filius,“* osobno zaś *„filiabus,“* co wszystko jasno dowodzi, że Długoszowa relacja o wielu dzieciach Elżbiety jest prawdziwą. Czyż więc nie wypływa ztąd wniosek, zwłaszcza jeźli zważymy późniejszą chorobę Elżbiety na suchoty, iż była: multiplicitate prolis... exhausta? Nie wiemy w jaki sposób szanowni oponenci Długosza dopatrzyli w tych słowach jego nieprawdy—my nawet przesady nie widzimy. (C. d. n.)

1) ibidem. zapiska Nr. 581.
2) ibidem. zapiska Nr. 741.
3) Rykaczewski. Inventarium arch. crac. pag. 251; z datą Medyka (prawdopodobnie więc październik) roku 1404.
4) Rykaczewski: (marzec, 1406 r.) Johannes de Tanczin iudex et Dobeslaus subiudex terrae Cracoviensis orta lite inter Vladislaum regem Poloniae et Vincencium de Granow castellanum Naklensem occasiono oppidi Szrem, idem oppidum iudiciali sentencia adiudicant regi Vladislavo, memorato vero Vincencio de Granov perpetuum silencium imponunt.
5) Dł. XI. 191.
6) Dł. XI. 198.
7) Dł. XI. 241.
8) Dł. XI. 276.
9) Ibidem.

1) Dł. XI. 378.
2) Helcel II. zapiska 881: Hedwigis de Pilcia duas villas Granow et Kamenecz in Polonia emptas, (obacz zapiskę pod nr. 579). Ottoni et Hedwigi wnancom suis, post mortem suam tenendas assignavit et in perpetuum resignavit, et CL in Slawnow, in Nywki XVI, et in Czangowice XX, et in Stregawa CCXXX marcas, cum quibus dictas hereditates de obligacionibus exemit similiteri assignavit.
3) Helcel. zapiska 965. ...Ottoni filio Vincencii de Granow, wnanconi suo, etc...
4) Ibidem.... Hedwigi wnance sue, filie predicti Vincencii, etc...
5) Helcel. II zapiska 1063.
6) Dł. XI. 426.
7) Helcel. II zapiska 2098, w której pod rokiem 1426 zwany on jest Johannes Granowsky; w roku 1440 i dalszych: Johannes de Pylcza; obacz zapiski nr. 2832, 3015, 3269, 3434: heres de Pylcza et de Lanczuth; 3691, 3693, 3774, 4097, 4328, 4423. etc...
8) Grünhagen w Zeitschrift für preuss. Gesch. u Landeskunde, 8 Jahrgang. Februarheft.
9) Obacz Liber beneficiorum Długosza, tom II. str. 186; ...Curow villa... cuius haeredes Stanislaus et Johannes de Pylcza de armis Lelywa...
10) Analekten. str. 367, 368. etc...

Piśmiennictwo polskie.

„Głos, Ucho i Muzyka“ rozprawa Augusta Laugel'a, przetłumaczona i uzupełniona przez Felicję Bakszewicz. — Kraków. — Nakładem Adolfa Dygasińskiego.

Pod tym tytułem wyszła w tych dniach w Krakowie książka, stanowiąca tom piąty „*Biblijoteki Umiejętności Przyrodniczych*“, redagowanej przez Ludwika Masłowskiego. Autor znany ze swych rozpraw w *Revue des deux Mondes*, jako znakomity popularyzator nauk przyrodniczych, wziął sobie za zadanie w książce tej poznajomić publiczność z odkryciami *Helmholtz'a* w dziedzinie akustyki. Skłoniła go do tego ta okoliczność, że owe odkrycia nietylko dla fizyków są ważne, ale także obchodzą i szerszą publiczność, bo dostarczając muzyce umiejętnych podstaw, bezpośrednio stykają się z estetyką. Brak miejsca nie pozwala nam wdawać się w szczegółowy opis tych odkryć *Helmholtz'a* nadmienić wszelako musimy, na czem one głównie polegają.

Od dawna już dostrzegano, że kiedy struna napięta drga swobodnie, oprócz dźwięku głównego słychać jeszcze słabe wyższe tony, nazywane dawniej *alikwotami* czyli cieniami tonów. Przysłuchując się bacznie, można nawet rozróżnić te cienie i dostrzedz, że one są w pewnym niezmiennym stosunku do tonu głównego. I tak np. słychać zawsze dość wyraźnie kwintę wyższej oktawy czyli duodecimę mniej wyraźnie pierwszą i drugą oktawę, tercję trzeciej oktawy i. t. d. Znaczenia jednak tych cieniów nie umiano sobie wytłumaczyć dawniej; znano je empirycznie, z doświadczenia, i uwzględniano starannie, lubo fizyka nie mogła zdać sobie sprawy z ich istnienia. Dopiero *Helmholtz* wykazał, że tak jak promień światła składa się z siedmiu barw tęczowych tak też każdy dźwięk jest zlepkiem pewnej liczby pierwiastkowych tonów, z których jeden jest najniższym i nazywa się *tonem zasadniczym*, wszystkie zaś inne są wyższemi i nazywają się *górnemi tonami*. Z pomocą nader misternych przyrządów, urządzonych z błony bębenkowej ucha naszego, zdołał on wyosobnić każdy taki ton pierwiastkowy, dawniej cieniem zwany, i tym sposobem zbadał, z jakich pierwiastkowych tonów składają się dźwięki rozmaitych instrumentów. Za pośrednictwem tej analizy wytłumaczył niezrozumiałe dawniej zjawisko, dla czego ta sama nuta wzięta na rozmaitych instrumentach, brzmi na każdym inaczej. Każdy z nas umie rozróżnić dźwięki fortepjanu od skrzypców, fletu, lub arfy wreszcie od dźwięków głosu ludzkiego; różnicę tę nazywają Francuzi *le timbre*, a my z niemieckiego nazwaliśmy ją *barwą dźwięków* (*Klangfarbe*). Istnienia tej barwy nie można było wytłumaczyć do niedawna jeszcze; dopiero Helmholtz wyjaśnił to zagadkowe zjawisko, wykazując eksperymentalnie, że ta sama nuta dla tego ma rozmaitą barwę na rozmaitych instrumentach, iż na każdym z nich składa się z innych pierwiastkowych tonów.

Badając jednak rozmaite instrumenta mu-

*

zyczne, niepodobna mu było pominąć najdoskonalszego ze wszystkich sztucznych i naturalnych instrumentów, to jest gardła naszego, a właściwie *krtani;* bo gardłem anatomja nazywa ten przewód, którym wprowadzamy pokarmy do żołądka, krtanią zaś tę rurkę, którą wchodzi powietrze do płuc i którą przeto głos wydajemy. Wprawdzie anatomiczna budowa krtani jnkoteż jamy ustnej, i fizjologiczna rola tych narządów w wytwarzaniu głosu znana była oddawna: wiedziano mianowicie, że od natężenia, długości i grubości wiązadeł czyli strun głosowych, znajdujących się w krtani, zależy wysokość głosu, a od kształtu jamy ustnej i języka — barwa jego. Ale nie umiano sobie wytłumaczyć, dla czego pewien kształt jamy ustnej jest w mocy pewną barwę nadać głosowi? Na przykładzie musimy to wyjaśnić. Barwę głosu naszego stanowią samogłoski; ile zatem jest w mowie samogłosek, tyle rozmaitych barw głos nasz przybierać na się jest w stanie. Różnica tutaj jest tak wielka, jak między rozmaitemi instrumentami. Nuta jakakolwiek wzięta na fortepjanie (abstrahując od wszelkich ubocznych szmerów towarzyszących grze na instrumentach, jak tarcie smyczka, stukanie palców o klawisze itd.) różni się w tym samym stopniu od tejże nuty wziętej na skrzypcach, co nuta wyśpiewana na samogłosce *a*, różni się od tejże samej nuty wyśpiewanej na samogłosce *e* lub *i* lub *o* itd. Z tego się okazuje, że podczas gdy każdy instrument ma stałą i niezmienną barwę, głos nasz jest o tyle fleksyjny, iż może do mnóstwa barw zastosowywać się. Owoż proces tworzenia się tych barw wyjaśniły nam dopiero odkrycia *Helmholtz'a*. Odkąd bowiem dowiedzieliśmy się, że barwa zależy od górnych tonów, należało tylko po prostu zbadać, z jakich górnych tonów składa się samogłoska *a*, a z jakich *i*, *o* etc. *Helmholtz* podjął się właśnie i tego zadania, i z pomocą swych rezonatorów rozszczepił każdą samogłoskę na jej pierwiastkowe części, na jej składowe elementa i tym sposobem doświadczalnie wykazał że w każdej samogłosce biorą udział inne górne tony, a to w skutek tego, że przy wymawianiu każdej samogłoski inny kształt nadajemy naszej jamie ustnej.

Dzieckiem analizy jest zawsze synteza. Przekonawszy się, że *coś* składa się z takich to a takich części, pierwszą myślą badacza jest sprobować, ażali łącząc te części uda się owo *coś* otrzymać. *Helmholtz* wiedział skład samogłoski *a, e, i, o, u* i wielu, wielu innych. Bo to gruby błąd gramatyki, że tylko te pięć samogłosek przypuszcza; istnieje ich znacznie więcej w głosie naszym, jak to już oddawna uznawali filologowie, a co ściśle i umiejętnie udowodnił *Helmholtz*. Owóż uczony profesor Heidelbergskiego uniwersytetu wiedział z jakich pierwiastkowych tonów składa się samogłoska *a*, a z jakich *e, i, o* itd. Pozostawało więc tylko przekonać się, ażali łącząc te pierwiastkowe tony otrzyma się rzeczywiście owe samogłoski. Skąd jednak wziąć takie pierwiastkowe tony, kiedy ich w przyrodzie nie ma wcale. W naturze są dźwięki, szmery, wrzaski, krzyki, ale pierwiastkowych tonów nie ma zgoła; niema instrumentu, któryby je wydawał, bo chociaż najmniej skomplikowane są dźwięki dzwonów, jednak zawsze są to kompleksy tonów, a nie tony oddzielne, elementarne. Wszelako, jeżeli każde brzmienie w przyrodzie jest zlepkiem wielu pierwiastkowych tonów, to żeby otrzymać którykolwiek jego ton pierwiastkowy, żeby go wyosobnić zupełnie, potrzebaby wszystkie inne tony wchodzące do tego kompleksu, całkowicie przytłumić. Właśnie tej metody trzymał się *Helmholtz* i wyosobniwszy wszystkie potrzebne mu pierwiastkowe tony, dokonał sztucznej syntezy każdej samogłoski. Przepraszam, nie każdej, bo nie zdołał sztucznie utworzyć samogłoski *i*, — a dla czego? Ciekawy czytelnik dowie się o tem w rozbieranej przez nas książce gdzie także znajdzie dokładny opis przyrządu zbudowanego przez *Helmholtz'a*, do syntezy samogłosek.

(Dok nast.)

Kronika paryska.

(Dokończenie).

Paryż — Kwiecień — 1876 r.

Czytałem gdzieś, że Goethe zapytany przez Napoleona: „Co w przekonaniu jego najlepiej francuską charakteryzuje narodowość?“ miał odpowiedzieć po krótkim namyśle, że „nieznajomość geografji.“ Otóż wyznać potrzeba, iż zarzut ten bardzo dotychczas słuszny, wkrótce zmieni się może w legendę przestarzałą i nic wcale nie znaczącą, bo krzątań się tu teraz co niemiara koło oznajmienia publiczności z tą nauką w jej najobszerniejszem pojęciu. Co chwila katalogi wydawców - księgarzy ogłaszają jakieś nowe dzieło, mniej lub więcej wyczerpujące tę kwestję. Opisy podróżnicze stanowią jednę z najbardziej produktywnych i najbardziej poszukiwanych gałęzi obecnego tutaj piśmiennictwa. Przed oczyma zdumionych Francuzów z cieniów obskurantyzmu wynurzają się światy, ciała społeczne, zdobycze cywilizacyjne, o jakich się im dotąd nie śniło. Słowiański Wschód Europy naprzykład, choć względnie w bliskiem położony sąsiedztwie, ale temci absolutniej dotąd ignorowany, a świeżo i raptem kilkoma historycznemi i filologicznemi rozświecony sprawozdaniami, jakąś nowo odkrytą wydaje się im planetą. Pamiętajcie, iż nie dalej jak przed 30 lub 40 laty hrabia Salvandy, minister oświaty i członek Akademji za Orleańskich czasów, w dwutomowej „Historji Jana Sobieskiego“ przez siebie napisanej, z następnym wyjechał frazesem: „Wówczas panowała w Polsce d y n a s t j a m o n a r c h ó w znana pod nazwiskiem k r ó l.“ Jeżeli takie pojęcie miano o Polsce, tej dwuwiekowej Francji sojusznicy, łatwo można sobie wyobrazić, jakie tumany pokrywały resztę Słowiańszczyzny. Otóż młode współczesne pokolenie postanowiło odżegnać te tumany. Niełatwa praca. Możnaby powiedzieć, że narody tak jak jednostki przez dłuższe zaniedbywanie w sobie pewnych stron ducha czy umysłu, strony te obezwładniają, i silnie jestem przekonanym, iż długo jeszcze dla niejednego Francuza bardzo nawet zdolnego i bardzo łatwo pojmującego wszystko w innym kierunku nauka historji i geografji ciężkiem i zawiłem będzie zadaniem.

„Rossja epiczna“ (*La Russie épique*) monografja pana Alfreda Rambaud, opublikowana niedawno w „Revue des deux mondes“, a teraz zjawiająca się w osobnym tomiku, należy bezspornie do sumienniejszych i doniośleiszych prób w tym rodzaju. Mówiąc o pieśniach, podaniach, legendach ludowych, o tej dzikiej w żadne formy nieujętej a tak bogatej wszędzie, zwłaszcza u Słowian, literaturze, p. Rambaud daje swoim rodakom kompletny kurs historji rossyjskiej, traktowanej ze stanowiska popularnego. Punkt to widzenia rzeczy, na którymby powinni stanąć wszyscy dziejopisarze, szukając podstawy dla swoich sądów i ocenek w krążącej z ust do ust gadce ludowej, w tej nemezis uciemiężonych pokoleń, pewniejszej i bezstronniejszej, niźli w kronikach a latopismach spisywanych częstokroć dłonią służalczą. Pan Rambaud musiał w Rossji długie przebyć lata, gdzie z bliska ze swoim obcował modelem i serjo a nie żartem podjęte studjował pytanie. Poznać to po wielce trafnych spostrzeżeniach i sądach wytrawnych. W ogóle rzecz bardzo godna czytania, i szczerze was do tego zachęcamy.

Zajmie was może wieść o jednym z rodaków naszych, mojżeszowego wyznania, Rabim Eljaszu Sołowejczyku z Kowna, który tu za poradą a pomocą wielu wybitnych osobistości, olbrzymie przedsięwziął dzieło, ni mniej, ni więcej jak tylko pogodzenia „Talmudu“ z „Nowym Testamentem“ i udowodnienia, że pomiędzy niemi nie masz żadnej różnicy esencjonalnej, i uniemożebniającej zgodę. W tym celu wspomniany Rabi wydaje komentarze do 4ech Ewangelistów (wyszły już dwa spore tomy. „Św. Mateusz“ i „św. Marek,“ trzeci „św. Jan“ przygotowuje się do druku) wszystko pod ogólnym tytułem *Kol-Koro* (Jęczące głosy). Potrzeba być większym erudytem w kwestjach teologicznych, by wystąpić z osobistem zdaniem o tej pracy. W każdym razie, przypuściwszy nawet zupełną jej bezdarność, odmówiwszy jej wszelkiego praktycznego zastosowania, nie możemy nie przyklasnąć szlachetnej, poczciwej idei, która przewodniczyła jej zamiarowi. Zwłaszcza my Polacy, na których ziemi mieszka przeszło półtora miljona Izraelitów, którzy stanowią ciało odrębne, zajęte handlem i zbieraniem bogactw, powinniśmy wzdychać do jakiegoś kompromisu ułatwiającego nam z nimi pożycie. I dla tego szczerześmy radzi wszelkim w tym kierunku wysiłkom, szczególniej tym, które jak obecny wychodzą z inicjatywy Polskich Żydów.

Arystokracja paryska, tak rodowa jak pieniężna, wielkim się tu w ostatnich czasach oddawała festynom. Powodem do nich były dwa małżeństwa, jakie się nie często zdarzają, i o których słów parę powiedzieć wam należy. Że się Rotszyld wiedeński z paryską ożenił Rotszyldówną, i że 12,000.000 fr. wziął po niej posagu, to rzecz naturalna, temu nie ma się czego dziwić, to zaledwie na pobieżne zasługuje wspomnienie; ale że Radziwiłł, gołe polskie książątko, po pannie Blanc, córce przedsiębiorcy gier publicznych w Monaco, zabrał aż 16cie miljonów wygranych na ruletce, to dla rozlicznych racyj może nas zainteresować.

Która z dwóch stron, kontraktujących wspomniany związek, lepszy zrobiła interes? Oto pytanie socjalne, zajmujące żywo towarzystwa tutejszego umysły. Że nazwisko i tytuł Radziwiłła dużo warte, to ani słowa, ale 16,000.000 fr. to widzi mi się cena za wygórowana. Pamiętamy, że przed laty pannie Schafnagel z Berdyczowa udało się za tańsze nabyć je pieniądze. Miałżeby ten artykuł handlu pójść w górę na targach świata? Miałożby zabraknąć książąt i grafów na ziemi? Gazety, w które wczytujemy się z łatwą do zrozumienia ciekawością, nic nam przecie o grasującej w Galicji a w Poznańskiem nie pisały zarazie. Skądże więc taka cena za towar dobrego wprawdzie gatunku, ale nie rzadki u nas w Polsce, w tej istnej fabryce tytułów, nie tylko na własny użytek ale i na wywóz za granicę.

Traktując rzecz z drugiej strony, pieniądze, hum! pieniądze jakkolwiek zawsze są pieniądzmi i jakkolwiek zawsze nęcą dłonie, jednakże... Jednakże, by zapomnieć wiele na nich cięży łez, przekleństw, samobójstw, zbrodni, trzeba ich wziąć dużo, bardzo dużo, bez liku! Pamięć księcia Radziwiłła aż do 16tu dotrwała miljonów. Inny stracił by ją za połowę tej ceny. Pokłon więc względnej księcia skrupulatności.

„Wielka Opera“ nie dalej jak w przyszłą środę, 5go bieżącego miesiąca, z nowym, z absolutnie nowym występuje utworem. Będzie nim: „Joanna d' Arc“ pana Mermet. Mówią o wielkich zbytkach kostiumów i dekoracji. Zarząd Opery zrobiłby dobrze oszczędzając pod tym względem, a łożąc nieco więcej na artystów. Brak bowiem pierwszorzędnych na scenie tutejszej zupełny, i gdy Londyn, Petersburg, Wiedeń, słyszą co sezon Patti, Nilson, Luccę, itd. Paryż jest zmuszony kontentować się paniami Krauss i Gueymard.

„Opera komiczna“ zapowiada wkrótce „Piccolino,“ słowa Sardou, muzyka Massenet, jeśli się nie mylę. Teatr „l' Ambigu Comique“ nareszcie przygotowuje z wielkim hałasem dramat pana Villiers de l' Isle Adam, pod tytułem „Nowy świat“ (*Le nouveau monde.*) Dramat ten, treść którego zaczerpniętą ma być z dziejów wojny o niepodległość amerykańską, otrzymał pierwszą nagrodę na konkursie wystawy powszechnej w Filadelfji, gdzie będzie dawanym w angielskim przekładzie. Sędziami konkursu byli: Wiktor Hugo, Augier i inni. Tych dwóch nazwisk dosyć, byśmy byli upoważnieni do dobrych wróżb o sztuce, i pojawienia się jej na scenie z gorączkową oczekiwali niecierpliwością.

Cóż dalej?

A! Autorowie komedji *Le procès Veauradieux*, która przed niespełna rokiem tak ładne w teatrze „Vaudeville“ otrzymała powodzenie, pp. Delacour et

Hennequin, aż z dwoma nowemi wystąpili utworami: *Poste restante* w „Palais Royal“ i *L'oncle aux éspérances* w „Gymnase.“ Niestety fortuna kołem się toczy, i utwory te nie dopisały położonym w nich nadziejom.

W „Variétés“ *Le Dadal* pana Gondinet, absolutny nonsens dramatyczny, upadł pod burzą gwizdawek. *Le roi dort*, feerja, która zastąpiła jego miejsce, ledwie że nie temu samemu uległa losowi, i długiego nie zapowiada żywota. Jeden tylko p. Lecoq w teatrze „Renaissance“ z „Młodą mężateczką“ (*La petite mariée*) wolne odnosi zwycięstwo.

Ot — i krótki przegląd teatralny skończony, a z nim i list niniejszy.

Do przyszłego

J. S. Chamiec.

POGADANKI.

XX.

Wszystkie dzienniki austrjackie przepełnione są obecnie — sprawozdaniami z pojedynków. Jeden z tych wypadków wywołał ogromną senzację tragicznem swojem zakończeniem. Dziedzic majoratu książąt Auerspergów, jednej z najznakomitszych rodzin Rzeszy rakuzkiej, poległ od kuli przeciwnika. Prezydent austrjackiej Izby panów stracił spadkobiercę, a prezydent przedlitawskiego gabinetu — spadkodawcę. Dużo ludzi ginie w wojnach, rewolucjach, buntach, dużo traci życie w walących się kamienicach, topiących się okrętach, palących i zasypujących się kopalniach, ale nie każdy z nich dziedziczy księztwo Gottschee, i „uksiążęcone“ hrabstwo Wels, i nie o każdym zostanie tak czułe wspomnienie — w almanaku gotajskim. Z tego powodu, moralna strona pojedynków ulega obecnie wszechstronnemu rozpamiętywaniu i niezwykłemu w pewnych sferach ruszaniu ramionami.

Kodeks austrjacki karze zabójstwo w pojedynku, jak każde inne. Tenże sam kodeks wszakże, wyjmując wojskowych z pod sądownictwa zwykłego, pozwala im zabijać się w wypadkach honorowych, a co gorsza, praktyka n a k a z u j e im wyraźnie popełniać zbrodnię, za którą człowiek nie noszący złotego *port d' épée* pokutować ma w Brygidkach. Oficer, któryby doznawszy obelgi, nie wyzwał przeciwnika, albo oficer, któryby wyzwania nie przyjął, byłby zgubionym. Obok tego wszystkiego, istnieje powszechny obowiązek służby wojskowej, wraz z instytucją jednorocznych ochotników i oficerów rezerwy. Oficer pojawiający się w surducie cywilnym, podpada juryzdykcji cywilnej, pojawiający się w mundurze, ulega prawom wojskowym i zapatrywaniu się swoich kolegów. Zaprawdę, dziwne stosunki, które obywatelom państwa zostawiają tylko wybór między domem kary a bezcześcią! Wszak wobec panujących do dziś wyobrażeń o honorze, żaden człowiek czujący się równym podporucznikowi od rezerwy, nie może odmówić stawienia się na placu, skoro jest wyzwanym. Wszak przysięgli, do których należy wyrokowanie na wypadek, gdyby czyn tego rodzaju podpadł pod postępowanie sądowe, nie mogą uznać winnym oskarżonego, który zrobił tylko to, co każdy z nich chcąc niechcąc, musiałby był zrobić na jego miejscu, jeżeliby nie chciał uledz najstraszniejszemu ze wszystkich, ostracyzmowi towarzyskiemu.

Gdzie jest panna, nie skazana jeszcze na chwytanie męża *coûte, que coûte*, któraby oddała rękę człowiekowi, o którym wiadomo powszechnie, że nie zmazał krwią prawdziwej lub urojonej plamy na swoim honorze? Gdzie jest żona, któraby się nie wstydziła męża, co nie strzelał ani nie rąbał się z fanfaronem, który j e j ubliżył? Gdzie jest towarzystwo, w któremby znalazł miejsce człowiek nie mający zbyt wybitnego stanowiska społecznego, a przytem nie stary i nie kaleka, a jednak obarczony zarzutem, że nie żądał albo nie dał „satysfakcji“ w pewnym powszechnie znanym wypadku?

Trudno powoływać się zawsze na drugą połowę piątej setki c. k. paragrafów karnych; trudno dochodzić sądownie najdokliwszych często uraz osobistych.

Pewną przeto jest rzeczą, że w podobnych wypadkach prawodawstwo austrjackie, równie jak prawodawstwo większej części państw europejskich, znajduje się w rażącej sprzeczności z sobą samem, i z wyobrażeniami, przeważającemi nie w ciemnych masach, ale właśnie w pośród tak zwanej *elity* społeczeństwa.

A przecież, jest sposób na to, a sposób ten odkryty jest od dawna we Lwowie, i nie zbyt dawno z wybornym skutkiem praktykowany.

Sposobem tym — zapisuję go tu dla użytku wszystkich obywateli postawionych we wskazanem powyżej fałszywem położeniu — sposobem tym jest... m a m a.

Dawid wyzywa Absalona, Absalon przyjmuje wyzwanie, ale jako dobry syn idzie żegnać się z mamą. Mama idzie na policję, *und der Rest ist — Polizeiwachmann.*

Proszę spróbować, czy środek nie jest wyśmienity.

* * *

Wdawszy się już raz w *Hig-life*, i zacząwszy od zabijaństw w najwyższych sferach towarzyskich, nie zdołam zeskoczyć od razu na zwykły poziom Pogadanek, nie zanotowawszy po drodze, że zaczynamy dawać coraz więcej objawów życia na — turfie. *Przedświt* biegał do chwili, w której to piszę, trzy razy w Pressburgu a raz w Peszcie. Dwa razy tylko wziął pierwszą nagrodę, a dwa razy musiał kontentować się drugiem miejscem. Gdyby był malarzem, poetą, matematykiem, naturalistą albo filologiem, a uległ dwa razy, pisma niemieckie skorzystałyby oczywiście z tego faktu w celu udowodnienia niższości rasy słowiańskiej w obec germańskiej. Ponieważ atoli *Przedświt* ma cztery nogi i ani jedną z nich nie objawił dotychczas dążności anticentralistycznych, więc sama *Neue freie Presse* bierze go w obronę i dowodzi, że byłby wygrał każdym razem, gdyby był lepiej „sterowanym.“ W Pressburgu dżokiej Entwistle zapatrzył się na kwiaciarkę, i nie uważał, że już nie daleko do mety, a w Peszcie hr. Kinsky zamiast jechać prosto do chorągiewki, jeździł w zygzak, co zdaniem geometrów, nie jest najprostszą drogą do wygranej. Oprócz tego *Karmazyn* hr. Tarnowskiego zajął zaszczytne miejsce między bieguna mi cis- i trans- litawskimi, a książę Borys Światopełk Czetwertyński nabył za 25.000 złr. dwa najlepsze konie biegające na torach tutejszej monarchji. Jakkolwiek więc dotychczas nie złożyliśmy sumy potrzebnej na kupno obrazów Matejki, to stoimy doskonale w opinji całej Europy i wyprzedzimy ją zawsze bodaj o długość wędzidła.

* * *

W jednej tylko kwestji opinia ta zwrócić się musi przeciw nam i naszemu „szykowi.“ Oto nietylko p. Sacher-Masoch po francusku, ale już i p. Franzos po żydowsko-niemiecku, utrzymyją zawzięcie, jakoby płeć piękna w Polsce odziewała się zawsze i wszędzie w tak zwane „kacawajki.“ W istocie, w nowelach p. Sachera i w „Culturbilderach,“ które drukuje p. Franzos, główną rolę co do kwestji polskiej odgrywa ta jakaś nieszczęśliwa „kacawajka.“ Nietolerancja religijna, brak oświaty ludu, smród żydowski w miastach, aspiracje federalistyczne, złe kotlety na dworcach kolei żelaznej, zwyczaj mówienia: „padam do nóg“ i „panie dobrodzieju,“ niewielka ochota kupowania *baubanków*, mniejsza jeszcze do przyjęcia „kultury“ z Salzgries — wszystko to tłumaczy się tą „kacawajką“ obejmującą kształtne kibicie naszych pań i panien. Gdyby nie „kacawajka,“ bylibyśmy może nawet Germanami — ale „kacawajka“ jest naszym, specyficznie słowiańskim wymysłem, i ona to utrzymuje nas w ciemności słowiańskiej!

Gdybym miał parę srebrnych „cwancygierów...“ przy sobie, posłałbym je pp. Sacherowi i Franzosowi z prośbą, ażeby raczyli wziąć do wiadomości:

1⁰ że „kacawajka“ nie pojawia się po tej stronie Przemszy częściej, aniżeli na zachodnim brzegu tej rzeki.

2⁰ że ta obmierzła „kacawajka“ nie jest bynajmniej naszym orjentalnym, azjatyckim wymysłem, i że jest ona tylko rusińsko-kołomyjskiem przekręceniem francuskiej *casaque* lub pochodzącego od niej „*casaquin!*“ Ale potrzebaby niestety dużo „cwancygierów“ by pp. Sacher i Franzos raczyli skonstatować tę bagatelkę etnograficzno - filologiczną, bo na czemżeby później oparli swoje pretensje do znajomości obyczajów i zwyczajów polskich? I za coby im płacili wydawcy?

Jan Lam.

TEATR.

„Nitka jedwabiu“. Komedja w 4 aktach W. Sardou.

Druga to już komedja Wiktora Sardou wymiemierzona przeciwko Amerykanom!... Pierwszym strzałem w tym kierunku był *Oncle Sam* — ale, czy to że nabój był zbyt silny, czy też strzelec nadto był zirytowany i wsktek tego mierzył nerwowo i niespokojnie, dość że strzał ten — mówiąc po myśliwsku — „spudłował“... P. Sardou, nie czekając długo, wymierzył z drugiej rurki, ale tym razem mierzył już spokojniej i rozważniej, i — mówiąc dalej po myśliwsku — „poprawił pudło“... P. Sardou posiada celne oko, pewną rękę i wypróbowaną dubeltówkę, tak do grubego jak i do drobnego zwierza. Wiadomo co spowodowało pana Sardou do tego podwójnego strzału — oto dzieło Laboulay'a „Paris en Amérique,“ wychwalające przesadnie Amerykę i Amerykanów, stosunki gospodarcze i społeczno-amerykańskie, życie domowe Amerykanów, przemysł amerykański, cnoty amerykańskie, trunki amerykańskie, patrjotyzm amerykański i w ogóle wszystko co amerykańskie. Panegiryk ten, także trochę amerykański, podwójnie obruszył pana Sardou — raz jako monarchistę i arystokratę, a powtórnie jako Francuza. Najprzód oburzył się w nim monarchista i arystokrata, tem zapalczywszy że nie tak dawnej jeszcze daty — powstał więc, i w *Oncle'u Sam'ie* zawołał: że społeczeństwo amerykańskie, oparte na t. z. zasadach republikańskich i demokratycznych, — składa się z samych oszustów, blagierów, wydrwigroszów i nieokrzesanych dzikunów, że przemysł amerykański jest *humbugiem*, że mężczyźni Amerykani są tchórzami, a kobiety Amerykanie rafinowanemi wietrznicami, że trunki amerykańskie są złe, sygara jeszcze gorsze, a o patrjotyźmie i cnotach domowych

amerykańskich nawet mówić nie warto... Na tem uroczem tle społeczeństwa amerykańskiego naszkicował autor kilka postaci francuskich i zaopatrzył takowe rozrzutnie we wszystkie cnoty i zalety, których wiekopomny dowód złożył naród francuski w czasie ostatniej wojny z Prusakami, ażeby jasnością swoją odbijały od tego tła, jak białe plamy od ciemnego tużurka. Ta bezwzględność i stronniczość sądu zbyt zdradzała wyłącznie polemiczną intencję autora, spowodowaną i podsycaną nerwowem rozdrażnieniem. Sztuka też nie sprawiła pożądanego wrażenia — zamiar chybił celu — strzał poszedł na wiatr..

W sztuce niniejszej przeniósł autor walkę na pole ściślej i wyraźniej określone, na kwestję t. z. emancypacji kobiet — porównywując stanowisko emancypowanych kobiet amerykańskich z tem, jakie kobieta zajmować powinna w każdem społeczeństwie, jeśli chce utrzymać trwale dobroczynny swój wpływ na mężczyznę. I tu przeważa tendencja polemiczna i popycha autora w malowaniu charakrerów i sytuacyj do niesprawiedliwości i karykaturalnej przesady — bo jak z jednej strony, gdyby ogół Amerykanek był takim, jakim go p. Sardou przedstawia, społeczeństwo amerykańskie i dziesięciu lat istnieć by nie mogło, tak z drugiej znów strony, jeśli słuszna wierzyć pp. Dumasowi, Feuilletowi, Augierowi i innym współczesnym dramaturgom i powieściopisarzom francuskim, dzisiejsze kobiety francuskie nie całkiem podobne są do tego ideału niewieściej doskonałości, którego wcieleniem jest panna Klara (pani Nowakowska)... Na bruku paryskim nie wszędzie rosną takie wonne kwiaty... Mimo to w głównej rzeczy ma autor słuszność zupełną. Znaczenie i wpływ kobiety nie polegają na współzawodnictwie z mężczyzną w walce życia publicznego, w której sprostać mu ona nie jest w stanie, lecz na skromnem a użytecznem działaniu w obrębie cichych ścian domowych, na wypełnianiu drobnych niby a tak doniosłych, tak ważnych obowiązków gospodyni domu, żony i matki... Siłą kobiety jest ten jej czar niewieści, ten urok słabości — wyzuwszy się z niego, staje się dopiero w obec mężczyzny bezbronną... Kobieta tak długo tylko wywiera wpływ na mężczyznę, jak długo jest właśnie kobietą... Jest to zdanie bardzo stare, mimo to jednak prawdziwe. P. Sardou w swej komedji przedstawia mieszczanina paryskiego, nazwiskiem Quentin (p. Zamojski), który odziedziczywszy spadek w Ameryce i przeniosłszy się tam wraz z dwiema dorosłemi rodzonemi córkami: Gabrjelą (pani Bieńkowska) i Joanną (pani Woleńska) i jedną doroślejszą jeszcze córką chrzestną, Klarą (pani Nowakowska), pełniącą w jego domu urząd ochmistrzyni i mentorki, pragnie olśniony wielkością Ameryki, przedzierzgnąć się w prawowiernego „yankes'a" a córki swoje wychować po amerykańsku. Towarzyszą mu także: współspadkobierczyni jego siostra, pani Foupart (pani Aszpergerowa) z mężem (p. Fiszer). Pani Foupart jest typem emancypantki francuskiej, z głową przewróconą doktrynami „amerykańskiemi". Ze wszystkich tych ludzi, jedna tylko Klara zachowała zdrowy rozsądek; przewiduje złe, czuwa nad tą rodziną warjatów i jest gotową w danym razie ochronić ją od skutków popełnianych przez nią niedorzeczności. Współspadkobiercą Quentin'a i pani Foupart jest także niejaki Jonatan (p. Dobrzański), ich siostrzeniec, który na razie zajmuje się ciesielstwem w Kalifornii. Powraca jednak ztamtąd w akcie 2gim, jako „młody Tytan amerykańskiej cywilizacji," za którego Quentin ma zamiar wydać jednę z swych córek, i zaraz na wstępie niemile rozczarowuje rodzinę okazaniem aktu darowizny, jeszcze za życia sporządzonego przez spadkodawcę na rzecz jego, przyznającego mu cały majątek, a tem samem resztę spadkobierców odsądzającego od spadku. Tym sposobem rodzina zostaje na łasce albo raczej niełasce „syna cywilizacji". „Syn cywilizacji" jest zaś odstraszającym egzemplarzem wpółdzikiego yankesa: zna tylko „interes," fantazuje o samych windach, prasach, kolejach itp. — nie lubi kobiet, pali nieustannie fajkę, pije szklankami rum, klnie po pogańsku i jest nieprzystępnym wszelkim tkliwszym uczuciom w ogólności, a wszelkim instynktom rodzinnym w szczególności. Wszystkie usiłowania wskrzeszenia w nim takowych pozostają bez skutku, cała dyplomacja męska i żeńska rozbija się o ten głaz cynicznego egoizmu i zwierzęcej brutalności. W ostatecznej dopiero chwili Klara czystym urokiem swej kobiecości ugłaskuje dzika amerykańskiego, delikatną sztuką niewieścią osnuwa go dokoła niby „nitką jedwabną," bierze w niewolę dozgonną i zniewala go do popełnienia jednej wspaniałomyślności po drugiej, aż w końcu do zniszczenia owego aktu darowizny i przypuszczenia krewnych do równego udziału w spadku. W tem posunął się autor nawet za daleko — takiego tryumfu nie odniosła jeszcze żadna kobieta nad żadnym yankesem!...

Taki jest wątek sztuki, w której akcja główna toczy się tylko przez dwa akta ostatnie. Resztę zabierają epizody bardzo luźnie powiązane z tokiem sztuki, służące raczej do stworzenia tła i do nadania rzeczy charakterystycznego kolorytu. Są tam i postacie całkiem zbyteczne, np. Lachapelle (p. Kwieciński) kochliwy Francuz zostający w ciągłej wątpliwości co do właściwego przedmiotu swych uczuć — i Lazarowich (p. Jasieński), Alzatczyk, udający księcia Czarnogórskiego, *chevalier d' industrie*. Obie te figury nie wywierają żadnego wpływu ani na bieg, ani na rozwiązanie intrygi — i dość niepotrzebnie plączą się w sztuce. Pomimo tej fragmentyczności w budowie i w przeprowadzeniu, sztuka od początku do końca utrzymuje widza w ciągłem, wzrastającem zajęciu — jest to zasługą tego, co Niemcy nazywają *die dramatische Mache*, a'e o czem sami wyobrażenia nie mają. Zresztą djalog odznacza się dowcipem pełnym gryzącej satyry — pojedyncze sceny przeprowadzone są z zadziwiającą zręcznością, jak np. rozstrzygająca scena w akcie 4ym między Jonatanem a Klarą — wybornie odegrana przez p. Dobrzańskiego i p. Nowakowską. P. N. wdzięcznie odegrała swą rolę, zawsze jednak życzylibyśmy jej więcej naturalności w dykcji, mniej cedzenia, pieszczenia się i... łaskotania słowami, że się tak wyrazimy — co znacznie osłabiło np. ową dyskusję poobiednią w akcie 3cim o stanowisku kobiety. P. Dobrzański z należytym taktem i miarą odegrał swą rolę, w której tak łatwo popaść w niesmaczną przesadę. Reszta ról, podobnie jak i całość przedstawienia, wypadły zadowalająco, szkoda tylko, że sufler sam nie grał roli p. Zamojskiego dla uproszczenia rzeczy, bo i tak było go słychać zawsze przed p. Z. W roli Gabryjeli wolelibyśmy byli widzieć panią Zimajer, a jeszcze bardziej panią Bieńkowskę tym razem w roli pani Zimajer...

Ar-y.

Kronika naukowa.

(Dokończenie).

Mówiąc dalej o świetle, wypada nam wspomnieć o zastosowaniu jego do odkrycia fałszerstw na papierach publicznych, testamentach, wekslach itp. Używano dotąd w tym celu najrozmaitszych środków chemicznych, mających na celu zrobienie wywabionego pisma widocznem, lecz najprostszym środkiem, w wielkiej liczbie wypadków, zdaje się być zastosowanie działania chemicznego promieni świetlnych, — zastosowanie fotografji. Opiera się ten sposób na tym fakcie, że niektóre ciała bezkolorowe, albo przynajmniej tak mało zabarwione że nie działają jako barwne na siatkówkę oka naszego, działają bardzo silnie na czułą na światło powłoczkę na szkle w ciemnej kamrze używanej przez fotografów. Już od dawnego czasu zauważyli fotografowie, że zupełnie wypłowiałe stare fotografje odbite na nowo zapomocą kamery dają obrazy mające te same barwy i detale, jakby zupełnie nowe fotografje. W ogóle wszystkie żółtawe części wychodzą jak najjaskrawiej na jaw. Najdrobniejszy ślad nadtlenku żelaza, niewidzialny dla oka występuje bardzo wyraźnie na fotografji. Otóż, zwykły atrament składa się z tanniny i nadtlenku żelaza. Niezależnie od tego jakiego środka użyto do wywabienia atramentu w danym wypadku, pozostaje zawsze w papierze pewien ślad tego nadtlenku. Zdjęcie powiększonej fotografji wystarcza wtedy, według p. Gobert, do otrzymania wywabionego pisma w stanie czytelnym.

Do celów podobnych, do wykrywania zbrodni oddawna już zastosowują z wielką korzyścią badania mikroskopowe. Niedawno, w Stanach Zjednoczonych mikroskop zdecydował w sprawie o morderstwo. Pewien żyd, który z Polski przybył, zabił, wyprowadziwszy w pole, jednę ze swych współwyznawczyni, jednę ze swej „sekty" jak się amerykanie wyrażają. Otóż żadnych jasnych dowodów zbrodni nie było, aż dopiero mikroskopowe badanie wykazało, że ziemia znaleziona na butach zbrodniarza pochodziła z miejsca zabójstwa, że plamy na jego odzieniu są plamami krwi, i że drobne cząstki wełnianej materji znalezione na ubraniu żyda, pochodzą z chustki którą zabita miała na szyi. Przybliżenie obliczony czas zostawania krwi z plam na powietrzu zgadzał się z czasem zabójstwa. Te odkrycia zdecydowały wyrok sądu na niekorzyść obwinionego.

Mówiąc o zabójstwach nie od rzeczy będzie wspomnieć o zatrutych strzałach używanych przez Papuańczyków. Żaden z tych wojowniczych dzikich nie opuszcza mieszkania nie mając ze sobą olbrzymiego bambusowego łuka i kołczana ze strzałami pomiędzy któremi jest kilka zatrutych, odznaczających się dla własnego bezpieczeństwa od innych zabarwieniem i wyrzeźbieniem. Ostrze każdej takiej strzały jest zrobione z kości ludzkiej nadzwyczaj starannie i delikatnie zaostrzonej. Koniec zatruwa się przez zanurzenie na dni kilka w ciało trupa ludzkiego. Kommodor Goodenough i jego towarzysze ucierpieli od strzał takich. Działanie jadu zaszczepionego najdrobniejszem draśnięciem strzały zatrutej jest niechybne i ranny umiera w spazmach i konwulsjach, ze świadomością przed samą śmiercią.

Wróćmy do mikroskopu. W mowie mianej na posiedzeniu d. 2 lutego rb. londyńskiego królewskiego mikroskopowego towarzystwa, wyłożył swe poglądy prezydent towarzystwa H. C. Sorby Esq., na przypuszczalne granice badań mikroskopowych. W tym celu prelegent nie zwracał uwagi na granice wyznaczone przez niedokładności budowy mikroskopów i przypuszczał, że instrumenta doskonale zostały wykończone. Nawet i w tym wypadku drobin ciała widzieć nie będzie można, bo światło, według zdania prelegenta, jest za grubym środkiem w stosunku do tych nieskończenie małych cząstek ciała. Porównywując badania Helmholtza i innych uczonych z praktycznemi rezultatami otrzymanemi przez badaczy mikroskopowych, przychodzimy do przekonania, że mikroskop pozwala nam ujrzeć przedmioty mające zaledwie $\frac{1}{80000}$ części linji średnicy, lub przy użyciu światła niebieskiego i fotografji mające $\frac{1}{112000}$. Jeżeli te nadzwyczaj drobne wielkości porównamy z miljonami miljonów drobin jakiegokolwiek ciała, np. białka, znajdujących się w $\frac{1}{1000}$ części linji sześciennej to przekonamy się jak dalekiemi są nowe fizyczne badania od ujrzenia budowy drobinowej. W tej tak drobnej kropelce zawiera się 530 miljonów drobin białka. Robiąc niedokładne porównanie można powiedzieć, że jesteśmy tak daleko od zobaczenia drobin jak od czytania gazety gołem okiem z odległości jednego kilometra.

Na jednem z ostatnich posiedzeń londyńskiego towarzystwa nauk pokazywał William Siemens nowy przyrząd, który nazwał *Batometrem* (głębiomierzem) służący do mierzenia głębokości

morza bez zapuszczania sondy. Jak wiadomo ciężar jakiegokolwiek ciała pochodzi od przyciągania ziemi. Każda najdrobniejsza cząstka ziemi działa przyciągająco na to ciało. Warstwy ziemi najbliżej leżące mają największy wpływ na siłę przyciągania, i to tym większy, im leżą bliżej i im są gęstsze. Jeżeli więc ciało leży nad głęboką warstwą wody, to siła z jaką jest do środka ziemi przyciąganą, jest znacznie mniejsza niż jeśliby ciało leżało na powierzchni twardej i znacznie gęstszej skorupy ziemskiej. Do mierzenia różnic tej siły zbudował Siemens przyrząd składający się z rury stalowej napełnionej rtęcią, zamkniętej u dolnego otworu cienką pofałdowaną blaszką stalową, taką samą jak blaszka używana w barometrach metalicznych (aneroidach.) Blaszka ta jest podparta w swym środku czopkiem przyciskanym dwiema, nadzwyczaj dokładnie wykonanemi sprężynami. Siła elastyczna sprężyn trzyma w zwykłym stanie ciężar słupa rtęci w równowadze. Lecz skoro się z przyrządem wyjedzie na morze, to rtęć staje się lżejszą i sprężyny podnoszą blaszkę w górę. To podnoszenie się jest proporcjonalne do głębokości wody. Do mierzenia zmian położenia blaszki służy nadzwyczaj delikatna śruba mikrometryczna, na której jest tak urządzona podziałka, że od razu odczytywać można głębokość wody pod instrumentem. Dwuletnie próby z przyrządem Siemensa okazały jego praktyczność i mieć można nadzieję, że odda znakomite usługi nauce. Z wielką łatwością można będzie zdjąć mapę dna mórz i w czasie mgły lub burzy kiedy gwiazdami kierować się nie można będzie choć w części orjentować się za pomocą batometru, albo przynajmniej wiedzieć naprzód o zbliżającem się niebezpieczeństwie, o gwałtownem podnoszeniu się dna morskiego i zbliżaniu się płytkiego miejsca.

W dziennikach naukowych francuskich spotykamy pod tytułem „grande nouvelle“ krótkie opisanie odkrycia zrobionego przez Lockyera, że metal wapń (Calcium) rozkłada się pod wpływem silnego strumienia elektrycznego prawdopobnie na wodór. Jak przyjdą bliższe wiadomości, nie omieszkamy donieść o tem czytelnikom *Tygodnia.*

B. Kiewlicz.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Trzy nauki gospodarskie napisane dla włościańskich gospodarzy przez Ignacego Łyskowskiego, dziedzica Mileszewa, w powiecie Brodnickim, w Poznaniu. Nakładem M. Leitgebera i spółki 1876 r.

Małych to wprawdzie rozmiarów książeczka, bo obejmująca w 16ce str. 95, ale wysokiej wartości. Szanowny autor, którego imię spotykamy we wszystkich zacnych usiłowaniach obywatelskich, daje w tem dziełku wskazówki, jak włościanin przez poprawę i udoskonalenie swego małego gospodarstwa rolnego, może podnieść swój dobrobyt. W pierwszej ze wspomnianych trzech nauk gospodarskich zajmuje się autor gospodarstwem wielopolowem, wyjaśnia znaczenie, potrzebę jego i korzyści, a czyni to tak jasno i przystępnie, że każdy rolnik, byle czytać umiał, zrozumie wszystko dokładnie. Druga nauka traktuje o nawozach zwierzęcych, jako najważniejszej części gospodarstwa rolnego, podaje sposoby ich przygotowania pomnażania i dobrego użycia; następnie przechodzi do nawozów ziemnych i objaśnia dokładnie znaczenie marglu, wapna i gipsu w użyźnianiu roli. W końcu zamyka autor pracę swoją nauką ostatnią: „O uprawie roli“ dzieli zaś uprawę na dwa rodzaje: uprawę pod płody zimowe i uprawę pod płody letnie i opisuje potrzebne do tego narzędzia. Dziełko to uważac należy jako jeden z najwyborniejszych elementarzy każdego rolnika, zarówno przydatny i pouczający włościanina, jak i ziemian pracujących na małych gospodarstwach. Życzyć tylko należy ażeby tak pożyteczna książka znalazła jak najrozleglejsze rozpowszechnienie.

— Wiadomości statystyczne o mieście Lwowie. Rocznik II. zebrał i opracował Tadeusz Romanowicz. Lwów 1876.

Sumienna ta praca zasługuje, by na nią zwrócili uwagę ci wszyscy, którzy choćby cokolwiek zajmują się sprawami publicznemi. Dobra statystyka, to niewyczerpane źródło nauki dla badacza, nauczyciela, administratora, polityka i innych. W drugim tym roczniku p. Romanowicz wprowadził nowy dział, poświęcony stowarzyszeniom, w następnych zaś przyrzeka wprowadzić jeszcze wiele innych, aby statystyka Lwowa była ile możności wyczerpującą. Spodziewamy się że radni naszego miasta przestudjują tę książkę, dla obznajomienia się z miejscowemi stosunkami. Polecamy ją także posłom na Sejm krajowy, bo i oni znajdą w niej dla siebie nie jedną rzecz ważną. Według tej statystyki, Lwów liczył z końcem r. 1875 razem z załogą wojskową 102.945 mieszkańców, a więc o 2500 więcej jak w roku poprzednim, a mimo to małżeństw było stosunkowo mniej, jak w latach dawniejszych. Zkąd to pochodzi?| Może by na to odpowiedzieli medycy, a może ekonomiści. Tym podobne pytania nastręczają się na każdej stronicy.

Nowości

podawane przez księgarnię

SEYFARTA I CZAJKOWSKIEGO.

we Lwowie.

Kleczyński Dr. J. — Treściwe objaśnienia ustawy o propinacji, z dodatkiem ustawy krajowej z 30 Grudnia 1875 r. „O zniesieniu prawa propinacji“ w 8ce str. 80. Lwów 1876. 60 cnt.

Labaulaye'a Edward. — Historja Stanów Zjednoczonych. Przekład z wydania czwartego. Zeszyt I w 8ce dużej. Warszawa, 1876. 1 złr. 50 ct.

Lam Jan. — Głowy do pozłoty, powieść osnuta na tle stosunków galicyjskich. Wydanie trzecie, w 8ce str. 371. Lwów 1876. złr. 3.

Mügge Teodor. — Fiat justitia! Powieść przełożył z niemieckiego Edward Sulicki. — Ouide. — Odtrącony. Powieść przełożyła z angielskiego Helena Glücksberg. w 12ce str. 130. Warszawa 1876. 75 ct.

Okoński Wł. — Niewinni. Dramat w trzech aktach. w 8ce str. 193. Warszawa. 1876. złr. 1.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Sztuka i literatura.

Komitet towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie uchwalił ogłoszenie na rok bieżący trzech konkursów: malarskiego, rzeźbiarskiego i architektonicznego. Tematą pomienionych konkursów są następujące: Do konkursu malarskiego: „Projekt figurowego ozdobienia plafonu nad klatką wschodową w lokalu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, na skalę jedna stopa w calu.“ Do konkursu rzeźbiarskiego: „Pomnik dla poety Antoniego Malczewskiego, złożony z figury allegorycznej na odpowiedniej postawie. Wysokość figury cali 25.“ Do konkursu architektonicznego: „Szkic do projektu kursalu w urządzić się mającym parku w Ciechocinku, na osób około 400, jednocześnie tam bawiących.“ Niezależnie od powyższych konkursów, komitet towarzystwa ogłasza dwa konkursa z nagrodami, z zapisu ś. p. hr. Stanisława Szczęsnego Kossakowskiego: a) rzeźbiarski i architektoniczny na temata następujące: Do konkursu rzeźbiarskiego: „Figura Chrystusa zmartwychwstającego. Wysokość figury cali 24.“ Do konkursu architektonicznego: "Projekt baptisterjum (kaplica), dotykającego nawy kościelnej, mającego przestrzeni wewnętrznej około 800 st. kw. Skala 10 stóp w calu.“ Termin: Wszystkie dzieła do powyższych 5ciu konkursów winne być złożone przez współubiegających się w dniu 22. grudnia r. b. na ręce kuratora wystawy towarzystwa. Każdy z pierwszych trzech konkursów otrzyma nagrodę w wysokości rs. 266, każdy zaś z dwóch konkursów z zapisu ś. p. hr. Kossakowskiego rs. 227.

— Minionej niedzieli odbyło się w mieszkaniu dyrektora krakowskiego teatru p. Koźmiana pierwsze posiedzenie komisji konkursu dramatycznego krakowskiego na rok 1877. Skład komisji jest następujący: przewodniczącym p. Koźmian, członkowie pp. Karol Estreicher, Antoni Kłobukowski, Aleksander Podwyszyński (reżyser), hr. Edward Raczyński, Lucjan Siemieński, Marjan Sokołowski, Ignacy Skrochowski, Aleksander Szukiewicz, Stanisław Tomkowicz. Do komisji należą także ofiarodawcy hr. Franciszek Łubieński, hr. Artur Potocki, hr. Jan Zamojski i ks. Marceli Czartoryski. Fundusz konkursowy składa się na r. 1877: 1) z pozostałych z poprzedniego konkursu 600 złr.; 2) z przeznaczonych corocznie na czas istnienia obecnej dyrekcji, przez hr. Artura Potockiego 200 złr.; 3) z przeznaczonych na rok 1877 przez dyrektora Koźmiana 100 złr. Ogółem zatem jak w zeszłym roku 900 złr. Warunki konkursu na r. 1877 są następujące: 1) Nagrodę 600 złr. otrzyma najlepsza zdaniem komisji komedja, osnuta na tle współczesnem lub historycznem, zapełniająca cały wieczór, najmniej w trzech aktach. 2) Nagrodę 300 złr. otrzyma najlepsza zdaniem komisji sztuka ludowa ze śpiewami lub bez śpiewów. Gdyby nagroda 600 złr. nie została przyznaną, a komisja uznała to za potrzebne, podwyższy nagrodę sztuki ludowej o 100 złr. z nieużytego funduszu. 3) Komedje i sztuki ludowe zalecone przez komisję do grania otrzymają 10% tantiemy od czystego dochodu za każde przedstawienie, a mogą być grane tylko za zezwoleniem autora. Utwory winne być nadsyłane pod adresem dyrektora teatru p. Koźmiana w Krakowie przed d. 1go stycznia 1877 r. jednak do d. 15. stycznia 1877 r. komisja przyjmować będzie nadsyłane utwory, lecz po tym ostatecznym terminie przyjmować ich nie będzie. Imie, nazwisko i adres autora winne być dołączone do rękopisu w zapieczętowanej kopercie. Komisja rozpocznie swoje prace d. 1go stycznia 1877 r. a orzeczenie jej zapadnie najpóźniej z końcem lutego 1877 r. Zastrzeżenia uczynione na poprzednich konkursach co do sztuk drukowanych, granych, lub odrzuconych przez komisję, obowiązują i nadal. Komisja uprasza o nadsyłanie czytelnych rękopismów.

— Bogaty Amerykanin Stewart, który w roku ubiegłym kupił za 300.000 franków obraz Meissoniera, przedstawiający szarżę kawalerji w r. 1807, darował to dzieło sztuki galerji obrazów w pałacu Luksemburgskim w Paryżu.

— Nakładem komitetu Wydawnictwa dziełek ludowych we Lwowie wyszła pierwsza część znakomitej publikacji ś. p. Walerego Łozińskiego p. t. „Ludzie z pod słomianej strzechy“. Chcąc ułatwić rozprzedaż — komitet podzielił książkę na trzy arkusze ścisłego druku i kosztuje 8 centów. Pierwsza część zawiera, oprócz przedmowy, następujące opowiadania: Tomko Brodzic, Paweł Cholewa, Maciek Zerwikaptur, Jaś Złotogoleńczyk, Klemens Janicki. Przy tej sposobności przypominamy, że komitet posiada znaczną ilość poprzednich publikacyj własnych, tudzież dawniejszych wydawanych nakładem pana Alfreda Młockiego, po cenie od 3 do 12 centów za egzemplarz. Zamawiający te publikacje przynajmniej za kwotę 1 złr. w. a. nie ponoszą kosztów ekspedycji i opłaty pocztowej. — Bióro komitetu przy ulicy Mickiewicza l. 8.

Archeologja.

— W Poppelsdorf koło Bonn nad Renem znaleziono kamienne naczynie, a w niem znaczną ilość srebrnych monet z rzymskich czasów. Monety są wybornie zachowane, i mają wizerunki Gordianusa, Piusa, Aleksandra Severa, Trajana i innych.

Umiętności.

— „Moralność i materjalizm“. Do tego tematu podaje tylko co z prasy wyszłej broszurze „Próba monistycznego uzasadnienie idei moralności“ prof. F. Maier ciekawy dodatek. Wiadomo, że przeciwnicy naukowego materjalizmu czyli tak zwanego Monizmu nie przestają twierdzić, że materjalizm ten niszczy moralność, chociaż w rzeczywistości powiada tylko, że moralność rozpatrywana z punktu widzenia naukowego jest pojęciem względnem, — na co historja daje niezliczone przykłady; autor dowodzi ze ścisłością że mylą się teologowie i filozofowie, którzy chcą podać „naukowe“, bezwzględne objaśnienie moralności. Na to przedewszystkiem zwraca p. Maier uwagę i wskazuje na postępowanie moralne z życia zwierząt, i nawet nieożywionej przyrody zupełnie podobne do postępowań ludzkich. Na końcu dołącza ideałne zapatrywanie się na moralność, które jednakże nie może rościć prawa do nauki, gdyż ta ostatnia znosi tylko rzeczy pozytywne i realne.

ROZMAITOŚCI.

— Od czasu, jak Anglicy odebrali Egipt Napoleonowi I i oddali go napowrót Mahometanom, kraj ten odgrywa nieposlednią rolę w historji 19go wieku. Będąc niejako z jednej strony pionierem cywilizacji europejskiej na Wschodzie, nie może jednak z drugiej żadną miarą zerwać stanowczo z tradycją i owemi nieprzepartemi zaporami, które sam Islam w drodze stawia cywilizacji europejskiej i liberalnemu rozwojowi społeczeństwa. Pięciu władców sprawowało w tym przeciągu czasu rządy Egiptu, a rządziło z nienależnością dochodzącą miary samodzielnej władzy. Wszyscy oni mniej lub więcej usiłowali zaprowadzić w kraju ustrój europejski. Atoli od panowania założyciela obecnej dynastji Alidów, Mehemed Alego, który będąc prostym Arnautą z pochodzenia, przyszedłszy do Egiptu jako zwerbowany żołnierz albański, w końcu wybił się na rządcę kraju, żaden z egipskich wicekrólów nie przeprowadził tylu reform cywilizacyjnych, jak obecny Khedive czyli wicekról, Ismail Pasza. Jak wiadomo ogólnie, pod jego egidą ukończone zostało wiekopomne dzieło, kanał Suezki, on przewodniczył pamiętnemu jego otwarciu, on to nakoniec odprzedał Anglikom w największej części akcje kanału, a tem samem i prawo zawiadywania przedsiębiorstwem, co przed kilką miesiącami taki zamęt wywołało było w całym świecie handlowym. Bez przesady rzec można, iż Ismail Pasza jest z pomiędzy wszystkich Alidów najodważniejszym obrońcą i najenergiczniejszym wyznawcą cywilizacji europejskiej, której na każdym kroku mimo żelaznego oporu fanatycznych żywiołów krajowych drogę toruje, ogarniając nią coraz szerszy krąg społeczeństwa. Spodziewamy się, że nie bez interesu będzie dla czytelników naszych, gdy przytoczymy niektóre o nim i jego rodzinie szczegóły. Ismail Pasza, obecny Khedive, urodził się w r. 1830 a objął rządy, jako piąty wicekról, po stryju swoim Saidzie Paszy. W młodości swojej spędził kilka lat na studjach w Paryżu, i z tego źródła zapewne pochodzi jego ogromne zamiłowanie dla opery, baletu, cyrku i ostentacyjnego przepychu, jak również dziwne upodobanie w dekoracjach. To też rzeczywiście posiada on wszystkie możliwe dekoracje światowe, nawet wysoką angielską „Bath,“ nawet „Gwiazdę“ Indyj. Podług gothajskiego almanachu, Khediwe ma z głównego, czyli prawowitego swojego małżeństwa, jedenaścioro dzieci: siedmiu synów i cztery córki. Najstarszy syn i przewidywany następca tronu nazywa się Mehemed Tewsill Pasza, ur. w 1852 r. ożeniony z Emineh córką zmarłego księcia El Hamy Paszy. Drugi, z rzędu syn, książę Hussein Kamil Pasza, ur. 1853, piastuje urząd ministra wojny i koloniji, a ożeniony z księżniczka Ain-el-Hat, córką jego zmarłego stryja Achmet Paszy. Trzeci syn, Hassan Pasza, wychowany był w Eton-College w Anglji, uczęszczał na uniwersytet w Oxford, otrzymał tamże stopień doktora praw, jest podporucznikiem w pierwszym pułku dragonów pruskich, a obecnie przebywa w Abissynji, jako komenderujący egipskiej armji. Czwarty syn, Ibrahim Helmy Pasza, urodzony w r. 1860 kształci się jeszcze i pobiera, wraz z resztą młodszych braci, naukę od europejskich nauczycieli. Najstarsza córka Khediwy, księżniczka Zenab Khanum, urodzona w 1859 r. zaślubiła w r. 1873 swojego stryjecznego brata Ibrahim Paszę, ministra rolnictwa i robót publicznych. W sierpniu minionego roku umarła, a pogrzebano ją z ogromnemi ceremonjami. Jak dalece postąpiła cywilizacja w Egipcie i przełamała przesądy Islamizmu, powziąć można już z tego wyobrażenie, że nie tylko synowie wicekróla, ale nawet córki i żony są fotografowane, oczywiście bez welonów, a fotografje takie nabywać można po publicznych sklepach. Na ulicy i w teatrze żony Khediwy, jak również za ich przykładem postępowe Egipcjanki dostojne, jawią się z nader cieniutkim welonem na twarzy, i noszą europejskie kostjumy, tiuniki i suknie z ogonami. Atoli postęp i reorgnizacja w życiu kobiet nie ogranicza się wyłącznie na zarzuceniu przez nie nieznośnych jaszmaków tureckich (welonów z grubej materji) i przebieraniu się w europejskie suknie. W haremach obywateli zamożniejszych spotkać można często francuskie i angielskie guwernantki, które kształcą nie tylko młode dziewczęta, ale nawet starsze damy, i bardzo wiele kobiet dzisiejszej generacji gra na fortepjanie, mówi wcale poprawnie kilkoma językami i obeznane są dokładnie z salonowemi manjerami i zwyczajami europejskiemi. Oczywiście, że tak w tym, jak w wielu innych względach, naśladowano tylko Khediwę, który pierwszy kobietom swojego haremu pozwolił używać europejskich sukien i zwyczajów. Podobnie jak jego poprzednicy, Ismail Pasza dąży systematycznie do wyzwolenia Egiptu z pod wpływu Turcji, i utworzenia zeń państwa samoistnego. Atoli podczas gdy pradziad jego, Mehemed Ali, usiłował przeprowadzić ten plan z mieczem w ręce, Ismail Pasza wytknął sobie rozsądniej do upragnionego celu drogę: postanowił ile możności, ucywilizować kraj, w umysłach ludu zaszczepić ideje europejskie i w ten sposób pozyskać sobie sympatje mocarstw europejskich. Dla tego to kazał on budować koleje, kopać kanały dla żeglugi, podniósł rolnictwo, zreformował sądownictwo itd. Każdą z tych reform musiał on drogo okupywać lub wywalczać u sułtana, gdyż w Konstantynopolu wiedziano i wiedzą dobrze, że te pojedyncze, na pozór niewinne koncesje, zamieniają się w przyszłości na tyleż środków, pomocnych do zupełnej emancypacji Egiptu z pod władzy Turcji. Mimo to jednak złoto egipskie taką ma moc i tyle względów w Konstantynopolu, że np. w 1866 r. pozwolono Khedywie na zmianę mohametańskiego prawa, jak wiadomo orzekającego, iż następcą tronu jest zawsze najstarszy wiekiem książę panującego domu. Obecnie i na przyszłość przywilej ten przysługuje w Egipcie najstarszemu synowi każdorazowego władcy. W r. 1867 Ismail Pasza sypnął znowu złotem, i Sułtan tytuł jego, wicekróla, zamienił na suwerena (Khediwe) a w końcu w r. 1872 przyznał mu wszystkie prawa panującego monarchy, tj. prawo nakładania podatków, zawierania pożyczek, traktatów handlowych, prowadzenia na własną rękę wojny, i co najważniejsza, utrzymywania w liczbie dowolnej, zbrojnej siły lądowej i morskiej.

— Dziennik paryski „Evenement“ opisał niedawno z nocnych przygód brukowych stolicy wypadek, który żywo przypomina zgrozą przejmujące czyny Thugów indyjskich. Pewnej nocy stało kilku ajentów policyjnych, ukrytych dobrze w nyszach bram, w ulicy Mouffetard de Louscine, i des Lyonnais, a zajęci byli bacznem śledzeniem zachowania się każdego z przechodniów. Około północy zauważali oni pewnego mężczyznę, który z ogromnym buldogiem kolo nogi, przekradał się szybko przez ulicę de Lyonnais. Z zachowania się jego, mianowicie zaś z okoliczności, iż usiłował o ile możności trzymać się w cieniu, wzdłuż kamienic, było aż nadto widocznem, że pragnął być niepostrzeżonym. Wkrótce dały się słyszeć kroki wprost ku niemu z przeciwnej strony zmierzające. Była to jakaś kobieta. W chwili gdy się zbliżyła na kilka kroków do nieznajomego z psem, utknęła nagle, i z głuchym, do połowy stłumionym okrzykiem padła na bruk. Teraz ów nieznajomy rzucił się na nią i począł przeszukiwać jej kieszenie. Jeszcze klęczał, pochylony nad swoją ofiarą, gdy wtem uczuł się z tyłu pochwyconym i gwałtownie odciągniętym. Równocześnie kilku innych ajentów pochwycilo niebezpiecznego psa. Tymczasem nieszczęśliwa kobieta leżała bez przytomności. Sznurek, zadzierzgnięty naokoło szyi, dusił ją śmiertelnie, gdyż nocny zbrodniarz złapał ją był na rodzaj arkanu t. z. lasso. Ponieważ stan jej wymagał spiesznego ratunku lekarskiego, więc sprowadzono ją do najbliższego biura policji. Oczywiście, że schwytany zbrodniarz, udał się tą samą drogą. Nieszczęśliwa kobieta utraciła zmysły z przestrachu nagłego. Jak sprawdzono później, na mocy pilnego śledztwa, łotr ten sprawował już to rzemiosło haniebne od dłuższego czasu, a nigdy nie mogła była policja wpaść na jego ślady. Mieszkał pod l. 12 przy ulicy des Lyonnais. Dom ten nie miał portjera i mieszkańcy mogli każdej chwili, czy to w dzień czy w nocy wchodzić lub wychodzić niepostrzeżeni, gdyż brama zamykała się li sztucznym mechanizmem, którego tajemnica była im wszystkim dobrze znaną. W ten sposób ukrywały się codzienne wycieczki nocne niezwykłego zbrodniarza Dodać należy, że w rzucaniu arkanem był on doskonale wyćwiczony, gdyż długo przedtem żył z łapania i przedawania cudzych psów. W ostatnich czasach widziano go zawsze otoczonego olbrzymiemi buldoggami, które tresowane były do napadu na drugich jako też jego własnej obrony. W całej dzielnicy Mouffetard był ów ptaszek dobrze znany z tych psów i całego zagadkowego życia swego.

— Arystokratyczne sfery austrjackie zostały zaalarmowane śmiercią księcia Auersperga Wilhelma, który padł w pojedynku od kuli hr. Kolowrata. Powody są następujące: Jeszcze przeszłego roku hr. Kolowrat żył w ścisłej przyjaźni z młodym ks. Auerspergiem. Natura hojnie wynagrodziła hrabiemu brak majątku piękną powierzchownością i bystrym umysłem. Nic dziwnego zatem, że K. był ulubieńcem kobiet i pozyskał przychylność młodej i bogatej księżniczki, która pod względem nazwiska i osobistych przymiotów należy do najznaczniejszych dam czeskiej arystokracji (Kaunitz). Stosunek ten jednak nie podobał się wielu osobom, a gdy wszelkie usiłowania zniweczenia go nie udały się, wdano się między młodych kawalerów, ażeby za ich pomocą hr. Kolowrata w jakiś inny sposób usunąć. W tym celu chwycono się niezbyt honorowego środka, a mianowicie rozpuszczania fałszywych uwłaczających czci jego pogłosek. Książę Auersperg. może bezwiednie stał się ich kolporterem. I tak między innemi opowiadano, że hr. Kolowrat narobił w wiedeńskiem towarzystwie wiele długów, które jego dalszą egzystencję w „towarzystwie“ uczyniły niemożliwą. Spotwarzony nie prędko o tych pogłoskach się dowiedział; dowiedziawszy się zaś przedłożył dowody swej niewinności i wyzwał ks. Auersperga. Widocznie ks. Auerspergowi było to bardzo nie na rękę, bo zamiast natychmiast przyjąć wezwanie, odwołał się do sądu honorowego, który oświadczył, że porucznik ks. A. nie jest obowiązanym bić się z hr. K. ochotnikiem kapralem. Fakt ten wydarzył się już dosyć dawno. Hr. K. wziął się serjo do nauki i w krótkim czasie zdał egzamin oficerski z wyszczególnieniem z części teoretycznej. Zaledwie dowiedziano się o tem w Pradze, potężne wpływy zaczęły nad tem pracować, aby uniemożliwić hrabiemu złożenie egzaminu z części praktycznej. W rzeczy samej hr. K. na odnośną prośbę otrzymał odpowiedź odmowną. W skutek tego podrażniony młodzieniec wystąpił z wojska, pojechał do Pragi i na dworcu kolei żelaznej, w chwili gdy ks. A. zamierzał wyjechać do Pressburga na wyścigi, zaaplikował mu dwa siarczyste policzki, aby tym sposobem zmusić go do dania mu satysfakcji. Mimo takiej niesposdzianki ks. A. udał się do Pressburga, i dopiero dnia 6 maja rano wrócił do Pragi. Tym samym pociągiem przyjechał hr. K. Tymczasem ułożono warunki pojedynku, który w tym samym dniu popołudniu odbył się na pistolety w ogrodzie hr. Clam-Gallas w Roszirc koło Pragi. Zapaśnicy strzelali do siebie po trzykroć na 15 kroków. Po pierwszych strzałach hr. K. był lekko w ramię ranny, dwa następne strzały chybiły — a po strzałach ostatnich ks. A. padł trafiony w pachwinę, a nazajutrz umarł. Hr. Leopold Kolowrat, został na rozkaz władz wojskowych uwięziony w koszarach kawaleryjskich na Jozefstadzie we Wiedniu. Przy tej sposobności nie możemy utaić oburzenia na dziennikarstwo wiedeńskie, które w sposób najohydniejszy stara się zbezcześcić Kolowrata, a zrehabilitować pamięć Auersperga. Tymczasem ze wszystkiego wynika, że pierwszy zachował się jak prawdziwy dżentelmen, gdy tymczasem drugi bądź co bądź starał się uniknąć pojedynku. Ale Kolowrat jest Czechem, nie lubianym we Wiedniu, Auersperg zaś był Niemcem czeskim. I oto powody nienawiści niemieckich dzienników...

Od Redakcji.

Z. w Śniatynie. Prenumerata liczy się kwartalnie według pór roku. Otrzymaną prenumeratę wpisaliśmy po koniec czerwca rb.

J. S. Ch. w Paryżu. List widocznie zginął. Wysyłamy drugi. Reklamowane numera wysłaliśmy już po dwakroć.

Treść Nr. 20.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).